Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. *Niedziela, dnia 23 maja 1937 r.* Nr. 21



Spotkanie

Zakłębiło się powietrze smutkiem
i — powrotem i nagłą radością.
Wieczór spojrzał liliowymi oczyma
w twoje oczy...
ocienione miłością.

Biją — późne godziny straty —
zaszeleścił czas — przemianą nocy — —
Zagadkowym jest to nasze spotkanie,
ten nasz powrót
w wieczornej pomroce —

Nasze myśli smutkiem zwichrzone
wiatr posplatał
wczorajszą tęsknotą —
Czym jest dla nas
nieświadome spotkanie?
czy rozłąką —
dalekiego powrotu?

Wszystkie nasze słowa
wiatr zagubił —
i — przyprószył siwym szelestem...
Nic — ponadto więcej dziś nie wiem —
że w tym jednym słowie trwasz tylko...
— jestem!....

Józef Baranowski.

WOJCIECH HOLM

32)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Nim baron przemówił do niego, otworzył drzwi, prowadzące do sąsiednich pokoi, ażeby się przekonać, czy go nikt nie podsłuchuje. Dla zabezpieczenia się przed szpiegami, otworzył nawet szeroko drzwi i odchylił portierę tak, aby mógł ogarnąć wzrokiem graniczące z biblioteką komnaty.

Zabezpieczywszy się w ten sposób przed niepowołanymi świadkami, zwrócił się do kasztelana przyciszonym głosem:

— Cóż to za nieostrożność z twej strony przychodzić aż tutaj? Co to ma znaczyć? Mów natychmiast!

— O, towarzyszu — odpowiedział Alojzy z szyderczą uległością — jakże twe słowa są ostre!

— Diabeł jest twoim towarzyszem i wspólnikiem — rzekł Egon zaciskając usta. Nie podnosił jednak głosu, mimo, że gniewne jego słowa i wyraz jego twarzy zdradzały aż nadto wewnętrzne wzburzenie. — Z czym przychodzisz?

— Chcę towarzyszowi swemu powinszować w dzień wesela! — odciął Alojzy szyderczo.

— Nie pragnąłem twego powinszowania — odpowiedział Egon. — Wynoś się zaraz do Felseg! Mógłbyś w ogóle wyjechać z kraju!

— Sądzę, że pan baron ma jeszcze dla mnie zajęcie. Miałem przecież panienkę...

— Milcz! Nie wymawiaj mi tu nazwisk — bronił się Egon. — Ten interes jest już bez ciebie załatwiony. Nie potrzebuję cię, więc możesz się wynosić z kraju.

— Z chęcią zgodzę się na to — rzekł Alojzy — ale potrzeba mi na to 20.000 reńskich, które mi towarzysz obiecał. Przyszedłem tu, aby je odebrać. Uszyłem już sobie nawet nową, skórzaną torebkę na te pieniądze.

— A jeśli ci tych pieniędzy dziś jeszcze nie dam? — spytał baron.

— To pan baron pożałuje — odparł kasztelan — bo nie pozostanie mi wtedy nic innego, jak zejść na dół, do sali, gdzie są wszyscy goście i oznajmić im głośno, że hrabia Wildenstein jest zamordowany, a kuzyn jego, baron Egon Sturmfeder przekupił mordercę.

— Przecież tym zeznaniem założysz sobie sam stryczek na szyję — tłumaczył mu baron — czy chcesz się dobrowolnie oddać w ręce kata?

— Ba, dla mnie nie ma dość silnego sznura, ani też dość pewnego więzienia — zapewniał Alojzy. — Jak mnie dziś zamkną, to jestem za trzy dni wolny. O mnie proszę się nie bać, panie baronie, proszę tylko myśleć o własnym bezpieczeństwie. Jak mi pan nie wręczy tych pieniędzy, to niech pan zostawi swoją młodą żoneczkę i ratuje się spieszną ucieczką.

Baron zgrzytnął zębami. Z ponurych i stanowczych rysów Alojzego wyczuł, że groźba jego nie była żartem.



Popisy młodego artysty cyrkowego, który po kilkuletniej pracy, przygotował szereg pomysłowych atrakcyj i występuje z nimi w teatrach rozmaitości. Partnerką jego jest urocza artystka, którą widzimy na zdjęciu.

— Bądźże rozsądnym! — rzekł doń łagodnie baron.

— Mam dość rozsądku, aby się nie dać wyprowadzić w pole — mruknął Alojzy. — Słyszę, że pan baron wybiera się w daleką podróż, więc muszę się o swój dług upomnieć.

Za każdą pracę należy się wynagrodzenie, powinien pan o tym pamiętać. Nie dam się dłużej za nos wodzić. Chcę pieniędzy! Dość długo już na nie czekałem i nie mam więcej cierpliwości! Jeżeli otrzymam 20.000 reńskich, opuszczę natychmiast zamek.

— Nie mam w tej chwili tak wielkiej sumy przy sobie — rzekł Egon ponuro. — Dam ci dwa tysiące jako zadatek, z tym, że natychmiast kraj opuścisz.

— Nie, panie baronie — odpowiedział Alojzy sucho — nie taka była umowa. Póki nie dostanę całej sumy, która mi się należy, zostanę w Felseg. To nieszlachetnie ze strony pana proponować mi dwa nędzne tysiące.

— Nie mogę ci dać więcej na razie — bronił się Egon rozpaczliwie. — Wiesz przecież, że nie mam jeszcze żadnych dochodów i nie posiadam własnego majątku. Mam teraz tylko sumkę, którą mi wręczył mój teść.

— Hrabia Dornbruch dał panu 10.000 reńskich — mruknął kasztelan.

— Skąd ty o tym wiesz? — spytał Egon podrażniony.

— To może być jaśnie panu zupełnie obojętne — odciął się bezczelnie kasztelan — dość że wiem, że pan baron ma w swoim czerwonym, skórzanym portfelu 10.000 reńskich. Aby dać dowód, że nie jestem niesprawiedliwym, żądam od pana tylko połowę tej sumy, to jest 5.000 reńskich, którymi się na razie zadowolę.

— Nie mogę w żaden sposób dać ci więcej jak 2.000 — zapewniał go baron.

— W takim razie żałuję pana barona szczerze — oświadczył Alojzy — i biedną, młodą panią baronową, która zapewne inaczej przedstawia sobie swój dzień weselny. To będzie dopiero skandal, gdy zjawię się nagle przed gośćmi i poczynię swoje zeznania!

Mówiąc to, zwrócił się rezolutnie ku drzwiom.

— Stój! — zawołał baron.

— Czy się pan już namyślił? — badał Alojzy.

— Tak! — odparł Egon.

Kasztelan wrócił wolnym krokiem.

Egon wyliczył mu 5.000 reńskich. Alojzy ostrożnie przeliczył kilka razy pieniądze a gdy się przekonał, że nic nie brakuje, schował je do woreczka i rzekł baronowi na pożegnanie:

— Szczęśliwej podróży i wiele przyjemności, jaśnie panie!

— Słuchaj Alojzy — zaczął znów baron — spodziewam się, że dziś jeszcze zbierzesz manatki i wyjedziesz.

— Proszę na to nie liczyć — odpowiedział kasztelan — bo mi się w Felseg tak podoba, że z pewnością nie opuszczę tego zamku prędzej, dopóki nie będę miał swoich 20.000 reńskich w kupie.

Baron ciężko zaklął.

— Bóg z panem, panie baronie — rzekł sucho Alojzy i zniknął za drzwiami.

Egon padł ciężko na krzesło, a duchy zamordowanych poczęły mu krążyć nad głową.

Zobaczył bladą twarz Gerharda i zapadłe oczy Wernera.

Zimny pot oblał czoło barona. Ukrył twarz w dłoniach, jak gdyby w ten sposób chciał oddalić od siebie blade upiory i jęknął żałośnie.

— Czy tak powinien wyglądać szczęśliwy małżonek? — zapytał go nagle męski głos.

Sturmfeder podskoczył i spojrzał błędnie przed siebie.

Przed nim stał jego teść i patrzył na niego dziwnym wzrokiem.

Baron odzyskał natychmiast przytomność umysłu.

— Przepraszam cię, kochany ojcze — odpowiedział wzruszonym głosem — myślałem właśnie o swoich zmarłych rodzicach.

Hrabia Dornbruch uścisnął rękę swego zięcia z współczuciem.

— Szanuję twoje uczucia, kochany Egonie — rzekł łagodnie — ale chodź już. Ada czeka już na ciebie. Najwyższy czas do odjazdu.

Egon zerwał się żywo.

Wkrótce para nowożeńców wsiadła do powozu, zaprzągniętego w czwórkę.

Za nimi podążał otwarty wóz z bagażami, które strzegła garderobiana Ady i nowoprzyjęty kamerdyner barona.

Przybywszy na stację, baron zarezerwował dla siebie i dla swej młodej żony wagon pierwszej klasy. Kamerdyner i panna służąca mieli jechać trzecią klasą.

Krótka podróż upłynęła nowożeńcom nadzwyczaj szybko.

Gdy przybyli do hotelu, Egon rozkazał kamerdynerowi, aby otworzył kufer, w którym była jego nocna garderoba. Ten usłuchał natychmiast rozkazu, ale nagle twarz jego przybrała wyraz okropnego zmieszania.

— Czy to pan baron zapakował jakiś prezent ślubny do tego kufra? — zapytał, wskazując na długi, starannie opakowany rulon, na którym dużymi literami było napisane:

„Prezent ślubny".

— Nie! — odpowiedział Egon.

— W takim razie nie wiem, jakim sposobem ten rulon dostał się do kufra — zapewniał kamerdyner. — Gdym rzeczy dziś rano pakował i kufry zamykał, nie było go tam jeszcze.

Tajemnicza paczka podrażniła ciekawość barona. Zręczną ręką odchylił wierzch. Nagle doznał niemiłego, przykrego uczucia. Oddalił coprędzej służącego, zamknął drzwi na klucz i rozłożył rulon na stole. Naraz krzyknął z bólu i wściekłości, a usta jego poczęły wymawiać złorzeczenia i bezbożne przekleństwa.

A przecież, to co widział, było bardzo piękne.

Był to obraz czarująco pięknej kobiety. Złotawe włosy skręcały się we wdzięczne loczki nad liliowo-białym czołem. Ręce cudnego kształtu trzymały rodzaj lutni i zdawały się wydobywać z niej słodkie tony.

Bosko piękne ciało, które pływało zupełnie nagie po fali morskiej, było bez skazy, ale tylko górna połowa była ciałem, skończenie pięknej kobiety. Od pasa począwszy ciągnął się pokryty łuską, odstraszająco brzydki ogon rybi.

Dlaczego jednak Egon tak szalał na widok tego obrazu?

Bo owa kobieta miała twarz jego żony!

— Wiedziałem, że egzystuje podobny obraz — jęknął — ale nie miałem pojęcia że malarz w swojej niedyskrecji tak się posunął daleko. Gdybym go tu miał pod ręką, ukarałbym go należycie.

Zaczął uważnie oglądać napis, ale śmiały charakter pisma był mu zupełnie obcy.

Zgrzytając zębami i klnąc zapakował obraz z powrotem i zadzwonił, aby mu podano lak i pieczęcie. Opieczętowawszy dokładnie pakunek padł znużony na krzesło.

Czyż ten dzień weselny nie był dniem męki i utrapienia? Czy nie ginął prawie przy ołtarzu z obawy i strachu? Małoż go Alojzy nadręczył swojemi groźbami? A teraz... to ostatnie, to było najgorsze ze wszystkiego!...

Gdy tak przemyśliwał nad wypadkami dnia, przypomniało mu się przekleństwo Mali.

Wołała ona o pomstę do nieba i życzyła niewiernemu kochankowi, aby mu własna żona kiedyś złamała wiarę małżeńską!

Zdawało mu się, że Bóg wysłuchał prośby zawiedzionej, opuszczonej dziewczyny!

Egon namyślał się, jak postąpić z swoją młodą żoną, czy ją pociągnąć do odpowiedzialności, czy też może odłożyć

to na później, a teraz udać, że nic nie wie?

Na tych rozmyślaniach upływała mu godzina za godziną.

Wreszcie podniósł się i wyprostował zesztywniałe członki.

Świeca dawno już się wypaliła, ale szczęśliwie dostał się do drzwi prowadzących do sypialni swej żony i wszedł tam na palcach.

Średniej wielkości komnata, oświetlona była matowym blaskiem czerwonej ampułki, a różowy cień padał na uśpioną twarz młodej, ślicznej kobiety, spoczywającej na ozdobnych poduszkach.

Baron przypatrywał się swej pięknej żonie z posępną miną.

— Kto wie — mruknął zgrzytając zębami i zaciskając pięście — kto się teraz ze mnie naśmiewa!

Cichutko wsunął się do swego łóżka i długi czas obracał się niespokojnie z jednego boku na drugi, aż wreszcie przymknął znużone powieki i zasnął.

Skoro tylko rozległ się spokojny i głęboki oddech męża, Ada usiadła na swym łóżku i pochyliła się nad nim.

Nie umiała sobie wytłumaczyć jego nieobecności i w końcu przypomniawszy sobie, że mało jadł przy stole, przypuszczała, że kazał sobie coś podać do jedzenia, i że napiwszy się trochę za dużo wina, zapomniał o wszystkim innym.

Przypuszczenie to okazało się jednak mylnym i Ada nie wiedziała teraz na serio, co o tym wszystkim myśleć.

Było to dla niej zagadką, której nie umiała rozwiązać, ale poczuła do swego męża żal, graniczący z nienawiścią.

Tyle tysięcy razy przysięgał jej, że ją ma za najpiękniejszą kobietę w świecie, i że ją do szaleństwa kocha!

Było to wszystko na pewno podłym kłamstwem, a on ożenił się z nią tylko dla jej posagu! Ale za to będzie musiał odpokutować. Ada nie była kobietą, która by pozwoliła z siebie żartować!

Wśród podobnych myśli, doczekała się młoda małżonka porannego brzasku.

ROZDZIAŁ CXVIII.

Na rozstajnej drodze

Alojzy nie bardzo zadowolony był z rezultatu, który osiągnął u barona.

— Zawsze jednak to lepsze, niż nic — mruknął, idąc w kierunku chatki, zamieszkiwanej przez Cyganów. Chodził on tam często do Ilony mimo, że doznawał zawsze nieprzyjemnego uczucia na widok Ignacego.

Ze zdrowego i hożego niegdyś chłopca stał się schorzały i siwy kaleka, który gapił się głupkowato i wymawiał bezsensowne, niepowiązane ze sobą słowa.

Myśli jego zaprzątnięte były wciąż wspomnieniem okropnego niebezpieczeństwa, które groziło jego życiu. Często budził się w nocy z głośnym, trwożnym okrzykiem:

— Jastrząb, jastrząb! — i wyskakiwał ze swego łoża.

Wtedy trudno go było uspokoić. Poza tym był posłuszny, przyjmował pokarm i napoje z wdzięcznością i nigdy się o nic nie napierał.

Z początku obawiała się Ilona, że Ignacy wyzdrowieje i wróci do przytomności. Przygotowywała się nawet na ten wypadek. Silna trucizna miała sprzątnąć go z tego świata, za to, że odważył się wglądnąć w jej tajemnicę.

Ale upływał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a stan Ignacego się nie zmieniał. Ilona była z tego zadowolona.

Czas jej schodził na pielęgnowaniu Ignacego i na doglądaniu hrabiego, którego otaczała wszelką możliwą wygodą.

Mimo to nie uśmiechnął się Werner nigdy do niej i nie popatrzył na nią uprzejmie. Przeciwnie, uważał ją za swoją dręczycielkę i samolubną dozorczynię.

Gdy Alojzy wszedł do chaty cygańskiej, zastał tam tylko Ilonę i Ignacego.

Chory drzemał spokojnie na swoim łożu, Ilona zaś siedziała przy ognisku i gryzła zębami kradzione orzechy.

— Chodź ze mną! — rzekł, rzuciwszy na chorego nieśmiałe spojrzenie — muszę z tobą pomówić.

— Czy znaleźli Sylwię! — spytała Cyganka z dzikim błyskiem w oczach.

— Nie, tej już nikt nigdy nie znajdzie — odparł kasztelan z pewnością w głosie.

— Tym lepiej — zawołała dziewczyna — i teraz, skorośmy się jej szczęśliwie pozbyli, możemy znowu hrabiego przetransportować do podziemia zamkowego. W chatce za zimno dla niego i droga do niej będzie już wkrótce zasypana śniegiem.

— Tak, trzeba go koniecznie stamtąd sprzątnąć — potakiwał Alojzy — i ty mi musisz znowu w tym pomóc. Przewieziemy go jeszcze tej nocy do podziemia.

Dobrze, kiedy mam być przy chatce nad wodospadem? — spytała Ilona.



Młodziutka artystka filmowa Marine Jennings na trampolinie.

— Około północy — odpowiedział kasztelan.

Nagle złapał obie ręce swej kochanki i rzekł błagalnie:

— Ilona, mam teraz sześć tysięcy reńskich. Wypuśćmy hrabiego na wolność i wyjedźmy za granicę. Możemy mu dać jakiś nasenny napój, a gdy zaśnie, zdejmiemy mu kajdany. Gdy się obudzi, znajdzie sobie drogę do ludzi, a my wtedy będziemy już tak daleko, że nas żadna pogoń nie dosięgnie.

— Skądże u ciebie te myśli? — zapytała Ilona ostro.

— Słuchaj, dziewczyno — rzekł Alojzy — miałem tej nocy dziwny sen...

— Cóż ci się śniło? — przerwała Cyganka z ciekawością.

— Śniło mi się, że byłem małym, wygłodzonym pieskiem — opowiadał kasztelan — którego wszyscy obrzucali kamieniami. Uciekałem od ludzi i chowałem się, ale prześladowcy moi wszędzie mnie znajdowali. Wreszcie siły mnie opuściły i na pół martwy miałem właśnie paść na ziemię, gdy nagle stanęła przede mną jakaś piękna, blada kobieta i spojrzała na mnie litościwie pięknymi oczyma. Rozkazała ona moim prześladowcom, aby mi dali spokój, a ci natychmiast jej posłuchali.

— Ale przecież sen ten nie ma żadnego związku z hrabią? — rzekła Ilona zniecierpliwiona.

— Owszem — tłumaczył jej Alojzy bo ta piękna kobieta miała rysy jego nieboszczki matki. Sądzę, że to mój anioł stróż chciał mnie przez ten sen przestrzec. Ilono, jeśli zgodzisz się na ucieczkę, to wypłatam swemu towarzyszowi figla, wypuszczając na wolność hrabiego Wernera. Ha, ha, ha, to byłaby przyjemność widzieć wściekłą złość dumnej Ady, na wiadomość, że wyszła za żebraka!...

Widocznie myśl ta napełniła go ogromnym zadowoleniem, które jednak szybko zgasło, bo młoda Cyganka rzekła krótko i ostro:

— Ja myślę tak samo, jak Ada. Nie chcę wyjść za żebraka.

— Kto ma sześć tysięcy reńskich i dwoje zdrowych rąk, ten nie jest żebrakiem — oburzył się Alojzy. — Wielu dziękowały Bogu, gdyby posiadało 10-tą część tej sumy.

— Cóż mnie mogą obchodzić inni ludzie? — zapytała piękna Cyganka. — Ja wyjdę tylko za bogatego człowieka.

Alojzy popatrzył na nią nieufnie, a ona mówiła dalej:

— Dorób i ty się olbrzymiego majątku, to wyjdę za ciebie.

— Biorę cię za słowo, dziewczyno, a jak mnie zdradzisz, to życiem to przepłacisz — krzyknął Alojzy dziko. — Początkowo nie litowałem się nad nieszczęśliwym hrabią, ale teraz żal mi go naprawdę, bo przecież nie zrobił mi nic złego.

— Mówiłeś mi nieraz, że nienawidzisz wszystkich bogatych ludzi! — wtrąciła Cyganka.

— Tak, ale hrabia Wildenstein nie jest teraz bogaty, ani potężny — odpowiedział kasztelan.

— A więc puść go na wolność — odpowiedziała Cyganka z udaną obojętnością — ale ja wówczas za ciebie nie wyjdę.

Groźbą tą osiągnęła przebiegła dziewczyna upragniony cel.

Alojzy przysiągł jej na wszystkie świętości, że da hrabiemu Wernerowi marnie zginąć, byleby tylko ona została jego żoną i wszystkie jego dobre zamiary poszły na marne.

Ilona zaś rzekła, uśmiechając się łaskawie:

— Widzę, mój Alojzeńku, że jesteś dzielnym chłopcem, a dzielny musi być ten, który mnie chce za żonę.

Alojzemu zaświeciły się z radości oczy, gdy to usłyszał. Objął Ilonę wpół i okrył jej twarz gorącymi pocałunkami. Zniosła to bez oporu.

Nagle przeraźliwy okrzyk wstrząsnął młodą parą.

— Jastrząb! — Jastrząb!

To Ignacy dzikim wzrokiem wodził po izbie, wznosił błagalnie ręce do nieba, i wołał ciągle rozdzierającym głosem:

— Jastrząb! — Jastrząb!

— Uspokój się Ignasiu — pocieszał go Alojzy — jesteśmy przy tobie.

Ale chory nie dawał się uspokoić i bez wytchnienia powtarzał te same okrzyki.

— Będzie krzyczał tak długo, dopóki nie ochrypnie — rzekła Ilona obojętnie.

Alojzy zadrżał. Przystąpił do Ignacego, wziął jego ręce w swoje ogromne łapy i starał się go uspokoić łagodną perswazją. Wreszcie Ignacy umilkł i popatrzył apatycznie na kasztelana.

Po niedługim czasie, chory zdawał sobie coś przypomnieć.

— Widziałem już kiedyś tego człowieka! — mruknął pod nosem.

— Pewnie żeś mnie już widział — potwierdził kasztelan — jestem przecież Alojzy, któremy przynosiłeś co tydzień żywność.

Słowa jego wzbudziły w nieszczęśliwym chłopcu stare wspomnienie.

— Tak, tak, wykradłem ci nawet kiedyś kasetkę z leśniczówki — zaśmiał się głupkowato.

Ilona słuchała uważnie.

— O jakiej kasetce on wspomina? — zapytała ciekawie.

— Ot, plecie jakieś koszałki opałki! — odpowiedział kasztelan wymijająco — wiesz przecież, że brak mu rozumu.

— Pewnie, pewnie, że go nie mam — powtórzył Ignacy z przeraźliwym śmiechem — to jastrząb mnie tak przestraszył. Okropny jastrząb! Kto mi da nabój, abym go mógł zastrzelić?

Zaczął znów tak głośno lamentować, że Ilona wyjęła chustkę, aby mu zatkać usta, ale kasztelan zaoponował.

— Daj mu spokój — rzekł łagodnie — niech się wykrzyczy, to może się prędzej uspokoi. Jak nie chcesz krzyków słuchać, to odprowadź mnie do zamku Felseg.

— Nie mogę go przecież samego zostawić — żachnęła się młoda Cyganka — tym więcej, że Rachela i Benari wyszli gdzieś i nie wracają.

— To wobec tego zaczekajmy, póki nie wrócą — rzekł Alojzy.

— Idź już, idź sam — naglila nieuprzejmie — lepiej będzie, jak cię Rachela tutaj nie zastanie. Wyraziła się już i tak nie bardzo przychylnie o twoich częstych ,wizytach. — Przyjdę do ciebie dziś w nocy, a wtedy wszystko pięknie ułożymy.

— Chcesz pozbyć się mnie — skarżył się Alojzy — widzę, że nic ci na moim towarzystwie nie zależy, a dla mnie największą pociechą w świecie jest móc na ciebie patrzeć.

Ilona wzruszyła ramionami, ale z drugiej strony schlebiało jej to bardzo i dlatego nie wydzierała się, gdy ją Alojzy na pożegnanie znowu obsypał gorącymi pocałunkami.

W tej samej chwili dał się słyszeć głośny śpiew męski.

— To Benari! — szepnęła Ilona i wyrwała się z objęć kochanka.

Skryła się w najodleglejszy kąt chaty, a gdy Cygan wszedł, zastał ją odwróconą

plecami do gościa i zajętą szukaniem czegoś w jakiejś starej szufladzie.

— Jak mi nie dasz arszeniku, to pójdę sobie! — rzekł Alojzy do Ilony.

— Powiedziałam ci już raz, że potrzebujemy sami arszeniku na myszy — rzekła Ilona niechętnie. — Gdybyśmy go mieli, tobyśmy go zużyli dla siebie.

— Czy i u was jest tyle myszy? — zapytał Benari Alojzego.

— Tak jest — odpowiedział Alojzy — myślałem, że mi dacie jakiś środek na wytępienie, ale Ilona chce mnie odprawić z niczym.

— Jakby Tara tu była, to by ci pomogła — zapewniał go Benari — a tak musisz pójść sam do miasta.

— Ha, nic innego mi nie pozostanie, jak tylko samemu pójść do miasta — mruknął kasztelan. — Bądźcie zdrowi.

To rzekłszy, wyszedł.

Benari spojrzał za odchodzącym nieufnym wzrokiem, a gdy kasztelan już się oddalił, Cygan rzekł do Ilony:

— Jestem bardzo ciekawy, po co ten Alojzy tak często tu przychodzi? Dawniej całymi tygodniami się nie pokazywał.

— Dlaczego mnie o to pytasz? — odpowiedziała młoda dziewczyna zuchwale — czy myślisz, że on mi wszystko opowiada?

— Tak sądziłem! — rzekł Benari.

— O, to się grubo omyliłeś! — odcięła się Ilona szyderczo.

Na tym rozmowa się skończyła.

Przez cały dzień Ilona była nadzwyczaj małomówna i mrukliwa. Poszła na spoczynek wcześniej, niż zwykle, a gdy Rachela wróciła, zastała już wszystkich pogrążonych w śnie.

Gderając, zaświeciła świecę i posiliła się resztą kolacji, którą Ilona jej zostawiła.

Potem ułożyła się do snu i zasypiając wygadywała jeszcze na leniwą Ilonę, że pomimo wczesnej pory już się wysypia.

Ledwie stara Cyganka zasnęła, Ilona wstała, ubrała się cicho i wysunęła ostrożnie z chaty.

Bez najmniejszej obawy przeszła przez kładkę położoną nad okropną przepaścią i szybko podążyła ku zamkowi.

Alojzy czekał na nią przed drzwiami.

Gdy ją spostrzegł, pobiegł naprzeciw niej i chciał ją na przywitanie znowu uścisnąć, ale ku największemu jego zdziwieniu, Cyganka odtrąciła go od siebie szorstko.

— Zapamiętaj to sobie dobrze — rzekła tonem, który nie znosi opozycji — że teraz nie ma czasu na głupstwa.

Jeżeli ośmielisz się jeszcze raz mnie pocałować, to natychmiast stąd ucieknę i więcej do ciebie nie wrócę.

Groźba ta poskutkowała.

Alojzy zaprzągł się z ponurą miną do wózka i oboje skierowali swe kroki w stronę chatki nad wodospadem.

Kasztelan przed tym już wsypał do wina, które podał hrabiemu Wernerowi, trochę usypiającego proszku i zastał nieszczęśliwego więźnia pogrążonego w głębokim, chorobliwym śnie. Werner nie obudził się nawet wtedy, gdy Alojzy zwolnił jego więzy i z pomocą Cyganki wyniósł go na wózek.



Na oryginalny pomysł wpadła córka jednego z hodowców krokodyli w Los Angelos. Urządziła ona mianowicie ucztę urodzinową dwom najstarszym krokodylom. Oto zdjęcie z tej „uroczystości".

Ilona dotknęła rąk więźnia.

— Zimne jak lód — mruknęła pod nosem — już najwyższy czas, abyśmy go umieścili w jakim cieplejszym miejscu.

Bez wszelkich przeszkód dotarli wkrótce do zamku Felseg i przetransportowali hrabiego z ogromnym trudem do podziemia, gdzie go umieścili na przygotowanym dla niego łożu.

ROZDZIAŁ CXIX.

Rudy potwór ukazuje się raz jeszcze.

Baronowa Wimpfen leżała w niedbałej pozie na kanapce w salonie.

Chłodziła się ogromnym chińskim wachlarzem, spoglądając poza niego kokieteryjnie na barona Ogrowskiego, siedzącego u jej nóg na niskim taborecie.

— Proszę mi opowiedzieć coś ze swego życia, baronie — schlebiała piękna kobieta — posłucham chętnie, bo umie pan tak zajmująco opowiadać. Niech mi pan na przykład opowie, co się dzieje w duszy pańskiej? Czy pan już kiedy prawdziwie kochał? Proszę wyspowiadać mi się ze wszystkiego, chcę być powiernicą pana!

— Nie kochałem jeszcze nigdy! — odpowiedział Rosjanin, kładąc wielomówiący nacisk na swe słowa i podnosząc czarne oczy na baronową. Potem westchnął głęboko i pogrążył się w ponurym milczeniu.

Baronowa niezadowolona bawiła się wachlarzem, obracając go na wszystkie strony. Nie lubiła nieśmiałych wyznań w formie westchnień i spojrzeń, wolała natomiast ogniste oświadczyny, poparte gorącymi pocałunkami.

Nagle usłyszała chrząkanie Anastazji w przyległym pokoju i znalazła wytłumaczenie dla barona.

— Anastazjo! — zawołała ostrym głosem na swą towarzyszkę — czyś mi już kupiła te wazy, które mi się onegdaj tak podobały?

Anastazja ukazała się z garniturem prawdziwych koronek w ręku, które misternie naprawiała i cerowała.

— Pani baronowa nie kazała kupować tych waz! — odpowiedziała.

— Ależ, chyba już zapomniałaś! — odpowiedziała gniewnie baronowa — powiedziałam ci przecież wyraźnie wczoraj, czy przedwczoraj, abyś mi kupiła te białe, marmurowe wazy, które widziałam na wystawie u Raimonda Fralelli'ego.

Anastazja, która rozkazu tego nie otrzymała, wściekała się z tajonej złości.

Poznała ona się także na tym, że baronowej chodziło tylko o to, aby się jej pozbyć i postanowiła spłatać jej figla. Rzekła więc z udaną pokorą:

— Niech mi pani baronowa wybaczy moje roztargnienie, gdyż człowiek z wiekiem traci także pamięć! Czy pójść może teraz po te wazy?

— Naturalnie! — rzekła Lola zadowolona — byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdyby je ktoś inny już zakupił.

Anastazja złożyła staranie swoją robotę i wyszła cicho z pokoju.

Nie poszła jednak do swej izdebki, leżącej na trzecim piętrze, aby się przebrać do wyjścia, lecz zapukała do drzwi hrabiego Brisena.

W jakim celu to zrobiła, dowiemy się trochę później.

— A teraz, kochany baronie — rzekła Lola, obrzucając Rosjanina rozmarzonym wzrokiem — kiedy jesteśmy sami i nikt nas nie podsłuchuje, może mi się pan otwarcie zawierzyć! A więc, czy pan naprawdę jeszcze nie kochał?

— Nigdy dotychczas! — rzekł Ogrowskij z patosem — myślałem zawsze dotąd, że jestem nieczuły na wdzięki niewieście, ale teraz...

Tu zatrzymał się dyskretnie.



Najnowsze zdjęcie byłego króla Edwarda, obecnego księcia Windsoru i pani Simpson w jednej z miejscowości francuskich, dokąd przybyli, by wziąć ślub.

— Ale teraz? — podchwyciła baronowa podniecona, przeklinając w duszy ociężałość pięknego mężczyzny.

— Ale teraz? poznałem lepiej swe serce — dokończył Ogrowskij i spojrzał czule na baronową.

— Zwariować z nim można — pomyślała Lola tracąc cierpliwość — te wieczne półsłówka, nieme spojrzenia i tęskne westchnienia! Nie chcę, aby wzdychał daremnie! Co z nim począć, aby mu język rozwiązać?

— Skorośmy już raz dotknęli tak drażliwego tematu — rozpoczęła baronowa Wimpfen na nowo — to niechże mi pan już całkiem zaufa. Czy może jakaś mediolańska piękność poruszyła serce pana? Bo ja nie mogę sobie wyobrazić, aby baronowa Fehrenberg, mimo swego wdzięku, mogła stać się dla pana niebezpieczną!

— O, pani baronowo! — wyszeptał Ogrowskij, zbliżając się do niej i obrzucając ją ognistymi spojrzeniami swych ciemnych oczu — czyżby pani doprawdy nic nie przeczuwała!

No, nareszcie, pomyślała Lola.

— Proszę pani baronowej, hrabia Brisen — zameldowała nagle Frania, wchodząc cicho do pokoju.

Lola podskoczyła, baron wstał również ze swego miejsca.

Nim jednak pani domu mogła dać odpowiedź, wszedł hrabia Brisen, kłaniając się z uśmiechem.

Nie zdradził się on wcale, iż przeczuwa, że obecność jego jest baronowej niemiła i że przyszedł bardzo, bardzo nie w porę.

Przeciwnie, zachowywał się tak, jak gdyby myślał, że jest bardzo chętnie widziany. Dopytywał się o zdrowie baronowej, uścisnął kordialnie rękę Rosjanina i usiadł z najniewinniejszą miną w świecie.

W duchu jednak myślał z goryczą:

— Więc Anastazja miała słuszność! Coś się tu między tymi dwoma zaczyna święcić i trzeba temu wszelkimi siłami przeszkodzić! Anastazję zjednam sobie, aby była po mojej stronie. Jest ona przebiegła i chytra i umożliwi mi wszystko za pieniądze i dobre słowo.

Brisen kochał się namiętnie w pięknej baronowej, która go traktowała ozięble i dawała mu poznać, że podoba jej się Ogrowskij. Hrabia z tego powodu nienawidził rosyjskiego barona o tyle, o ile szalał za czarującą Lolą.

Na razie ukrył jednak zręcznie swoje uczucia i podtrzymywał rozmowę swą swobodną gadatliwością.

— Czy pani baronowa już słyszała — zaczął — że ten rudy potwór, albo, jak go pani baronowa nazywa „mediolański wampir" znów się pojawił?

— Nie! — zawołała baronowa, szczerze zajęta tą wieścią. — Dlaczego mi pan nic o tym nie opowiadał, baronie? — rzekła, zwracając się z dąsem do Rosjanina.

— Bo tym razem również po raz pierwszy o tym słyszę! — bronił się Ogrowskij. — Proszę nam opowiedzieć, panie hrabio, co się znów stało!

— Dziś, o dość późnej godzinie — zaczął hrabia Brisen — zaniepokojeni podejrzanym spokojem, panującym w willi Casa Bella, wyłamali ludzie do niej gwałtem drzwi. Ale á propos, baronie — zwrócił się hrabia do barona — czy bywał pan u Conta Bisteli?

— Słyszę to nazwisko po raz pierwszy — odparł Ogrowskij.

— Zdawało mi się, że widziałem pana kiedyś wchodzącego do willi Casa Bella, gdym tamtędy przejeżdżał — zauważył Brisen.

— To chyba omyłka — odparł Ogrowskij obojętnie — albo jakieś podobieństwo pana złudziło.

— Tym lepiej, baronie — zaczął znowu hrabia — bo gdyby rodzina Bistelich była panu osobiście znana, albo więcej, gdyby pan żył z nią w przyjaźni, to wieści moje wstrząsnęłyby panem głęboko.

Conte Bisteli bowiem, żona jego i córka wraz ze służbą są pomordowani.

— Okropność! — zawołała Lola i Ogrowskij równocześnie.

— Ale dlaczego znów podejrzewają tę rudą kobietę o rzeź? — zapytał baron.

— Niechże pan opowie nam, jak to się stało? — prosiła baronowa. — Lubię pasjami historie takich zabójstw, naturalnie, jeśli nie gram w nich głównej roli, to jest, jeśli nie jestem tą zamordowaną.

Rosjanin zaśmiał się dziwnie, a wesołość jego, jak zwykle, miała coś niemiłego.

Hrabia Brisen opowiadał dalej.

— Willa Casa Bella leży w dużym ogrodzie, przy końcu którego stoi mały domek portiera, wpuszczającego wchodzących do wnętrza. Wczoraj wieczorem portier otworzył drzwi jakiemuś panu, który wyszedł z willi późną nocą. Portier nie znał tego pana i byłby go nie poznał, bo noc była ciemna. Gdy obcy człowiek wychodził, dał portierowi tylko znak, aby ten otworzył bramę parku. Portier więc poruszył mechanizm i usłyszał po kilku minutach zamykającą się znów bramę, z czego wnosił, że się gość ów już oddalił. Gdy jednak dziś około południa willa Casa Bella jeszcze się nie otworzyła, portier się zaniepokoił. Udał się więc wraz z woźnicą, który mieszka przy stajniach w pewnym oddaleniu od domu mieszkalnego, na policję i wraz z nią wyłamali przemocą drzwi domu. Już w przedpokoju przeraził ich straszny widok. Stary służący hrabiego Bisteli'ego stał oparty o ścianę, z odwróconą doń twarzą, zasztyletowany widocznie z tyłu. Pozycja, w której go zastano, wskazywała, że chciał on zgasić jakąś ścienną lampę i przy tym zajęciu został zamordowany skrytobójczą ręką. Poszli dalej. W pokoju hrabiego zastali straszny nieład, który wskazywał na to, że zbrodnicza ręka przeszukała tu wszystko, aby znaleźć przedmioty wartościowe. W toalecie hrabiny leżała nieżywa stara garderobiana. Hrabia i hrabina leżeli pomordowani w swoich łóżkach, a gdy dotarli do pokoju hrabianki, zobaczyli, że i ona nie żyje. Leżała na podłodze przed swoją toaletą, w negliżu wieczornym, z rozpuszczonymi włosami, w kałuży krwi. Gdy ją podniesiono, otworzyła jeszcze raz oczy. — Ta kobieta! — szepnęła z przerażeniem, a potem oddała ostatni oddech. Jej kaseta z biżuterią była otwarta i wszystkie kosztowne klejnoty były zabrane. Na tylnych schodach domu leżała zamordowana stara kucharka. Była na pół ubrana i miała topór w ręku, co dowodziło, że zbudzona przeraźliwym krzykiem swego państwa, bie-



gła im na pomoc i przyłapana, straciła życie. Najdokładniejsze poszukiwania w domu mieszkalnym i w parku nie wykryły śladu mordercy. Znaleziono jednak jakiś zagadkowy przedmiot, o którym nie wiedzą jeszcze, czy go uważać za corpus delicti.

— Co to za przedmiot? — zapytała baronowa ciekawie.

— Jest to rodzaj maski — odpowiedział Brisen — ale nie właściwa maska, tylko rodzaj cieńkiej, jedwabnej zasłony, pomalowanej w zmarszczki i z otworem na oczy, usta i dziurka na nos. Jeden z urzędników policyjnych włożył tę maskę i spostrzegł, że przylega ona do twarzy zupełnie tak, jak naturalna skóra. Przypuszczają, że jest to maska tej rudej kobiety, która nakładała dla niepoznania. Okoliczność, że dziwna ta maska wisiała na pniu drzewa, nasuwa przypuszczenie, że maska zbrodniarki zawisła w ciemności, w chwili, gdy ruda przedostawała się przez gęste gałęzie.

— Ta hipoteza wydaje się nie bardzo prawdopodobną — wtrącił Ogrowskij z namysłem — widziałem bowiem tę rudą kobietę na własne oczy, przy jasnym świetle gazowym i nie spostrzegłem żadnej maski. Jej pomarszczona twarz wydawała mi się całkiem naturalną. Kto wie, co przezacna policja mediolańska jeszcze wymyśli.

— Jestem przerażona tym nowym mordem — zawołała baronowa, trzęsąc się ze strachu — to takie niepokojące, że policja nie może wpaść na ślad tej tajemniczej zbrodniarki. Proszę sobie wyobrazić, moi panowie, starszą kobietę, (jeśli zmarszczki nie mylą), która sama, bez żadnego wspólnika popełnia cały szereg okropnych czynów i znika bez śladu, nie dając się przyłapać. Można by tu uwierzyć w jakąś nadnaturalną siłę.

— Jest to w rzeczywistości bardzo niepokojące! — wtórował jej Ogrowskij. — Wszystkie poszukiwania za nią są bezowocne. Nagroda, którą wyznaczyłem, zwabiła wielu do poszukiwań, ale dotychczas nie powzięto nawet najlżejszego podejrzenia, przeciwko jakiejś osobie, pomimo, że śledzą wszystkich znanych złoczyńców na każdym kroku.

— Nie jestem bojaźliwa — rzekła Lola — przeciwnie, pochlebiam sobie, że należę do odważnych kobiet, ale dochodzę do wniosku, że mój dalszy pobyt w Medjolanie byłby lekkomyślnością.

— Pani baronowa ma słuszność — rzekł Brisen proszącym tonem. — Proszę więc nie narażać swego życia na niebezpieczeństwo, proszę wyjechać z Mediolanu. Odprowadzę panią chętnie, dokąd tylko zechce się pani udać.

— Jestem taka niezdecydowana — wahała się baronowa — i wydawałoby się to teraz tchórzostwem, gdybym uciekła. Postępowanie moje byłoby tylko wtedy usprawiedliwione, gdyby i panowie poszli za moim przykładem. Co pan o tym myśli, baronie? — zwróciła się Lola do Rosjanina — czy zdecydowałby się pan także opuścić Mediolan?

— Nie mogę tego uczynić w żaden sposób, pani baronowo — odparł solennie. — Mnie tu trzyma najświętszy obowiązek, nie pomściłem bowiem jeszcze okropnej śmierci nieszczęśliwej pani Dufour. Zadanie moje jeszcze nie spełnione, więc muszę tu pozostać.

— I z mojej strony byłoby to właściwie dziecinadą uciekać stąd — śmiała się Lola, która w żaden sposób nie chciała się rozstać z pięknym Rosjaninem. — Ta ruda kobieta upatrzy sobie zresztą na ofiarę inną osobę, a nie podróżującą damę, która nie wiezie ze sobą pieniędzy, ani swoich kosztowności.

— To postanowienie jest prawdziwie bohaterskie! — zawołał baron Ogrowskij z podziwem — a potem dodał szeptem:

— Postanowieniem swym uszczęśliwiła pani mnie, biednego śmiertelnika.

Brisen spojrzał gniewnie, bo poznał wyraźnie, że baronowa jest już całkowicie pod wpływem jego rywala, ale milczał.

Baronowa gawędziła obojętnie i nie zwracała uwagi na zły humor Brisena. Po kilku minutach wróciła z miasta Anastazja i weszła do pokoju zmęczona, z błyszczącymi oczyma.

— Pani baronowo — rzekła z wyrzutem — daremnie chodziłam! U braci Raimondo nie ma białych, marmurowych waz.

— Bo pewno je sprzedali! — rzekła Lola obojętnie.

— Ależ nie, proszę pani — upierała się towarzyszka — cały personel utrzymuje, że ich firma nigdy nie sprowadzała marmurowych waz.

— Tak? — odpowiedziała baronowa oziębłe — no, to musiałam się pomylić. Widziałam te wazy pewno w jakimś innym magazynie. A teraz zadzwoń, Anastazjo, by przyniesiono serwis do herbaty i ty ją nalejesz.

— Panowie zrobią mi przyjemność i wypiją ze mną po szklance herbaty? — dodała Lola zwracając się do swoich gości.

— Niestety, nie mogę przyjąć łaskawego zaproszenia — wymawiał się Brisen — bo wyznaczyłem sobie spotkanie z przyjacielem.

— O, co za szkoda! — zawołała Lola, która była zbyt wyrafinowaną kokietką, aby sobie zepsuć z jakimś wielbicielem przyjaźń i dlatego chciała hrabiego ułagodzić. — Ale może zobaczymy się później, hrabio? Mam lożę na dzisiejszy wieczór.

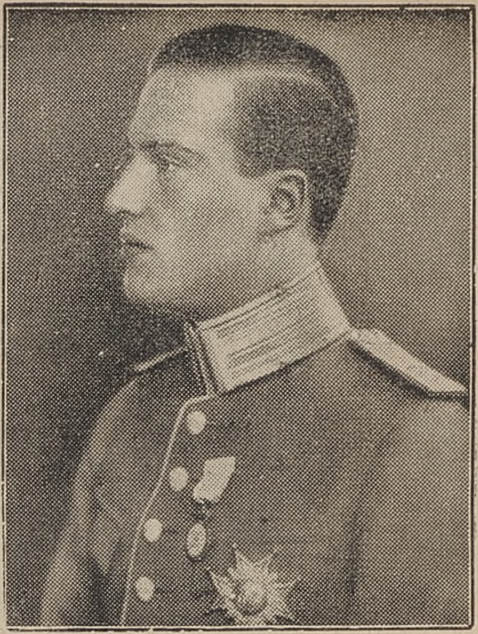
— Skorzystam jak najchętniej z łaskawego zaproszenia! — zawołał hrabia i na twarzy jego można było wyczytać, jak bardzo się ucieszył z uprzejmego zaproszenia Loli. — Czy idzie pan ze mną, panie Ogrowskij?

— Pożegnam się także, bo mam jeszcze ważne listy do pisania — odpowiedział Rosjanin. — Ale jeśli pani baronowa pozwoli, to odwiedzę ją również w loży, bo postanowiłem sobie być również dziś wieczorem w operze!

Lola skinęła głową na znak zgody, uśmiechnęła się słodko i panowie oddalili się.

Podczas, gdy Anastazja w złym humorze przyrządzała herbatę, podeszła baronowa do jednego z wysokich okien i patrzyła uważnie na ulicę. Piękna ko-





Szwedzki książę Karol (junior) ma zamiar wziąć w najbliższym czasie ślub z hrabianką Elsą von Rosen. Ponieważ narzeczona księcia nie pochodzi z rodziny królewskiej, książę traci przez małżeństwo prawo do tronu i tytuł księcia.

bieta tak namiętnie zakochała się w Rosjaninie, że nie zaniedbywała żadnej sposobności, aby na niego chociaż popatrzeć.

Ogrowskij zaś umiał zręcznie podsycać tę namiętność i doprowadzić ją do ostateczności.

Loli zdawało się, że nigdy jeszcze nie kochała tak gorąco. I teraz stała przy oknie z bijącym sercem, w oczekiwaniu, że raz jeszcze zobaczy postać ukochanego, uczuje spoczywające na niej jego ciemne oczy i wyczyta z nich to, czego pragnęła.

Czekała jednak daremnie, gdyż Ogrowskij się nie zjawiał.

Pewnie wstąpił jeszcze do Brisena na chwilę — pomyślała Lola — ale w tej samej chwili zobaczyła hrabiego opuszczającego hotel i przyszła do wniosku, że przypuszczenia jej były mylne.

Zła, że nie zobaczyła barona, odeszła od okna, aby wypić herbatę i zrobić wieczorną toaletę.

O późnej godzinie Lola wróciła z opery bardzo niezadowolona, bo Ogrowskij pomimo swego przyrzeczenia, nie przyszedł do loży.

Spotkała się tam wprawdzie z Fehrenbergami, był też hrabia Brisen i Tellenthin i baron Oppen-Norden, ale rozmowa z nimi wydawała się jej nudną i bez uroku. Nikt jej nie mógł zastąpić pięknego barona.

Zły humor Loli zwiększył się jeszcze bardziej, gdy spostrzegła, że Anastazja wbrew zwyczajowi i wbrew umowie, nie czekała tym razem na jej powrót.

— Anastazja kazała przeprosić panią — rzekła garderobiana Frania — bo czuła się dzisiaj tak niezdrowa, że się nie mogła utrzymać na nogach i musiała dlatego wcześniej położyć się.

— Nie wierzę, ona mi to na złość zrobiła — pomyślała Lola — w rewanżu za to, żem ją wysłała po te wazy. Nie mogę jednak jej budzić, bo ona mi za to gotowa kilka dni udawać chorą, a to byłoby mi nie na rękę.

— A kto mi będzie dzisiaj głośno czytał? — spytała głośno i gniewnie.

— Może ja wyręczę Anastazję? — wtrąciła Frania z wahaniem.

— Nie, nie! — ofuknęła ją baronowa — Ty swoją wymową i fałszywym wymawianiem obcych słów irytujesz mnie tak, że nie mogę później przez całą noc zmrużyć oka.

Obrażona i dotknięta Frania, zaczęła rozbierać swoją panią.

Przyczesała jej włosy na noc, włożyła na nią biały, haftowany negliż, spytała uniżenie, czy pani baronowa nie ma więcej życzeń, a otrzymawszy przeczącą odpowiedź, wysunęła się cicho z sypialni.

Baronowa zwlekała z położeniem się do łóżka, była bowiem przyzwyczajoną, że Anastazja ją usypiała czytaniem i bała się teraz, że będzie dziś musiała spędzić w łóżku kilka godzin bezsennie.

Usiadła niezadowolona w hotelu i zadumała się. Wszystkie jej myśli skupiały się wokoło pięknego Rosjanina, który wzniecił w jej sercu bardzo silną namiętność.

Tym razem jednak gorąca tęsknota jej do barona, połączona była z lekkim niezadowoleniem, gdyż żaden mężczyzna dotąd nie opierał się tak silnie jej kokieterii i zachęcającym słowom.

Czyżby ten głuptas sobie ze mnie kpił? — myślała z gniewem. — Zbliżał się do niej czasami, ale robił to niedołężnie i nieśmiało.

Dziś na przykład, kiedy już był na najlepszej drodze do oświadczyn i tylko przez nagłe wejście Brisena znalazł w tym przeszkodę, nie skorzystał z danej mu przez nią sposobności, aby się z nią jeszcze raz zobaczyć. Nie chciał z nią pozostać sam na sam na herbacie i nie odszukał jej w operze. Co za cel mogło mieć to zagadkowe jego postępowanie?

Myśli te wzburzyły baronową do tego stopnia, że wstała i zaczęła się przechadzać po pokoju. Była tak zdenerwowana, że otworzyła drzwi do garderoby i do salonu, aby mieć jak największą przestrzeń do swej premenady.

W salonie nie było już światła, tylko matowy blask latarni padał przez okna z ulicy.

Baronowa usłyszawszy z pobliskiej wieży bijącą drugą godzinę, przypomniała sobie, że to już czas najwyższy położyć się.

Nagle usłyszała w pokoju, graniczącym z jej salonem, jeden jedyny, ale tak przeraźliwy okrzyk, że jej krew w żyłach zastygła.

To straszna ruda kobieta! To wampir mediolański! — było pierwszą myślą Loli, ale w następnej chwili zreflektowała się:

— To przecież niemożliwe, aby ona wkradła się, do tego hotelu, gdzie panuje taki ruch, a przed którego drzwiami dniem i nocą stoi portier! To pewno jakiś przyjezdny zachorował i krzyknął z bólu a krzyk ten nie był może tak straszny, jak mi się wydawał. Czy też ten krzyk słyszeli i inni i pospieszyli mu na pomoc?

Baronowa była odważną kobietą i prawie nigdy się nie bała. To też i teraz tylko była ciekawą. Pobiegła szybko do swej garderoby, schwyciła lichtarz z toalety i wyszła odważnie na korytarz.

Ale w następnej chwili wydała przeraźliwy okrzyk, bo przed nią, oświecona jasno światłem świecy, stała ruda kobieta — „wampir Mediolanu".

Para diabelnie lśniących, czarnych oczu wpiła się przez chwilę w postać baronowej. Nieruchoma z przerażenia, wpatrywała się Lola w zmarszczoną twarz zbrodniarki, i w jej rude kudły, lecz uczuła naraz, że jej lichtarz z ręki wytrącono. Zrobiło się ciemno i baronowa upadła bez przytomności na ziemię.

Po kilku minutach obudziła się. Na jej krzyk zbiegli się wszyscy mieszkańcy hotelu i cała służba.

Jeszcze na pół oszołomiona ze strachu, dawała tylko niejasny opis tego, co z nią zaszło.

W pokoju z którego usłyszano pierwszy okrzyk, znaleziono przejezdnego kupca, zabitego na podłodze i przekonano się wkrótce, że jego portfel z pieniędzmi był skradziony.

W piersi zamordowanego tkwił jeszcze ostry sztylet, który zbrodniarka w pośpiechu zapomniała wyjąć. Tej to okoliczności zawdzięczała widocznie baronowa swoje życie.

Ciało ofiary było jeszcze ciepłe, morderstwo mogło więc mieć miejsce zaledwie przed kwadransem, a mimo to nie można było odkryć śladu zbrodniarki.

Portier nie widział nikogo wychodzącego przez drzwi, straż nocna nie spostrzegła żadnej podejrzanej kobiety na ulicy, słowem znikła ona znów bez śladu.

Gdy zaprowadzono trzęsącą się jeszcze z przerażenia baronową do jej salonu, spostrzegła ona z przerażeniem, że jedno z okien, które były pozamykane, teraz jest otwarte.

— Przez ten pokój uciekła! — wołała przestraszona Lola. — A przez tamto okno wyskoczyła na ulicę! Nie chcę ani godziny dłużej zostać w tym miesz-

Ciąg dalszy na str. 417.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

ADRESY

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Smutne Serce", „Zrównoważony", „Biały Tulipan", „Wesoły Toruniak", „Margaretka" i „Biała Kalia", „Ziuk", „Mistyk", „Stel" i „Wiarus — Murzynek".

CZEKAM CIĘ PRZYJACIELU

Potrzeba mi twej przyjaźni, mój dobry przyjacielu...
Samotna taka ta droga, która prowadzi do celu,
Samotna taka ta droga, przez którą życie mnie goni —
— Potrzeba mi twej przyjaźni, twojej pomocnej dłoni.

Potrzeba mi twej przyjaźni, idę do ciebie z wiarą
Patrz, oto niepewny stoję nad życia kipiącą czarą
I nie wiem sam, co mnie wabi: czy smutek, czy radość pusta —
— Powiedz mi, przyjacielu, czy mam umoczyć w niej usta?

Potrzeba mi twej przyjaźni, wesprzyj mnie swym ramieniem
Jak ciężko samemu walczyć z swym własnym, mętnym sumieniem,
Jak ciężko samemu z sobą, prowadzić walkę zwycięską...
— Ty przybądź mi z pomocą, chroń — przyjacielu przed klęską.

Potrzeba mi twej przyjaźni... nią silny — nie znam trwogi,
Niczym mi znoje i trudy, ciernie krwawiące mej drogi —
Z twoją pomocą dojdę, zwycięstwem dumny, do celu —
— Potrzeba mi twej przyjaźni... czekam cię, przyjacielu...

H. D.

ODPOWIEDŹ NA LIST I POCZTÓWKĘ

„Taki jeden". Dzisiaj daję Panu odpowiedź na list i pocztówkę otrzymaną z Poznania. Za ostatnie — dziękuję Panu serdecznie. Co zaś do listu, muszę przyznać, że jest on bardzo ciekawy, jak zresztą wszystkie listy Pana. Podobnych listów dotąd nie otrzymywałam. Nikt, tak skrupulatnie, jak Pan, nie analizował zamieszczanych nowel i wierszyków i nie dzielił się później swymi spostrzeżeniami ze mną. Spostrzeżenia te są różnorodne, ale szczere, dla tego odczytuję je z przyjemnością i porównuje je z moimi spostrzeżeniami. Zawsze jednak dochodzę do wniosku, że krótkie recenzje Pana, ujęte w oryginalnej formie, są naprawdę trafne. Serdecznie dziękuję Panu za to żywe interesowanie się „Moimi Powieściami" i czekam na nowy list. I jeszcze jedno — łączę mocny uścisk dłoni za nadesłane piękne wiersze.

Okładki do roczników „Moich Powieści" może Pan nabyć w naszej administracji w cenie 1,50 i 2,50 zł.

Adres „Białej Uajali" znajdzie Pan w najbliższych numerach „Moich Powieści".

LIST Z POZNANIA

„Skrzydlaty Rycerz" i „Płomienne Serce". Niżej zamieszczam list dwóch kolegów z Poznania:

„Pragnęlibyśmy za przykładem tylu innych Czytelników „Moich Powieści" zawrzeć wartościową i ciekawą korespondencję. Mieszkamy w Poznaniu i najchętniej nawiążemy kontakt korespondencyjny z Paniami z Poznania lub okolicy. Posiadamy zasoby zdrowego humoru i postępujemy zawsze po gentelmańsku. Szczerość to u nas najważniejsze. Idziemy przez życie odważnie, z podniesioną dumnie głową, a materialistyczny prąd chwili nie zdołał w nas zgasić tradycji i ideałów. Przez życie przechodzimy zawsze zwycięsko i to nam dodaje odwagi na najbliższą przyszłość.

A teraz trochę o naszym zewnętrznym wyglądzie:

„Skrzydlaty rycerz" to blondyn, z bujną czupryną, słusznego wzrostu, oczy niebieskie zabójczo (zawsze) działające na płeć piękną.

„Płomienne serce" także blondyn, oczy koloru nieba, trochę marzyciel o płomiennym sercu. Marzy zawsze o szczerej przyjaźni i o wielkim cudzie... miłości.

Kto chciałby więcej o nas wiedzieć — zachęcamy go do przesłania nam listu. Nasze adresy: poste — restante, Poznań 1, dla okaziciela dowodu osobistego serii B. nr. 871388 z dopiskiem: „Skrzydlaty Rycerz" i dla okaziciela dowodu osobistego serii B. nr. 869703, dla „Płomiennego Serca".



Bardzo piękne, o tęsknym wyrazie oczy i ciekawą twarzyczkę, posiada „Dzinka", autorka miłych wierszyków, zamieszczanych w „Krainie".

„PRZYJAŹŃ ZNALAZŁAM W „KRAINIE"

„Złote Słoneczko z Pomorza". Pseudonim Pani nieco przeobraziłam, gdyż w „Krainie" jest jeszcze jedno „Słoneczko". Chyba nie pogniewa się Pani za to na mnie?

Treścią nadesłanego listu dzielę się ze wszystkimi, tym więcej, że zawiera bardzo miłe wiadomości.

„Jakże niezmiernie wdzięczna jestem „Krainie szczerości i naszych trosk" za to, że znalazłam za jej pośrednictwem skarb, jeden z najcenniejszych w życiu — szczerą, bezinteresowną przyjaźń. Przyjaźń tę ofiarowała mi kobieta o wysokim poziomie kulturalnym i złotym charakterze. Pierwszy raz w moim życiu napotkałam taki ideał koleżeństwa, stąd radość moja i wdzięczność dla Krainy".

Korzystając z okazji pozdrawiam „Łobuza z pod ciemnej gwiazdy", „Fotoamatora", „Rycha", „Binusia", „Wytwornego Włóczęgę" i „Jesienny Wicher".

O listy proszę „Fleur", „Biały Zwid", „Marzyciela z nad Noteci", „Fakira", „Sportowca", „Erosa" i „Wirryta".

MARZENIA O NAWIĄZANIU KORESPONDENCJI Z SYMPATYKAMI „KRAINY"

„Ulina", „Ikjala" i „Imgra". Miło mi, że przypomniały sobie Panie o mnie w wolnej chwili i napisały znowu. Dziękuję za tę pamięć i, ponieważ marzą Panie o nawiązaniu korespondencji z miłymi Sympatykami „Krainy", oddaję do druku wszystkie „komunikaty" Pań:

„Hallo! Wszystkie Sympatyczki i Sympatycy „Krainy", którzy chodzili od roku 1928 — 1930 na „uniwerek" w G. nad Trynką — napiszcie do „Uliny", a którzy od roku 1930 do 1934 — do „Imgry".

„Wikonie", ślę moc pozdrowień! Zgadnij, kto je. tem?

„Nynku" — przyjm miłe pozdrowienia od „Uliny"!

„Ikjala" zasyła serdeczne pozdrowienia „Zrównoważonemu" i zapytuje Go, czy nie zechciałby nawiązać z nią korespondencji?

„Cormesie", dlaczego byłeś taki tajemniczy, będąc w L., że nie zdradziłeś kim właściwie jesteś? Na nowej drodze życia składam serdeczne gratulacje.

Hallo! „Armido" — tu „Imgra"! Owszem, pamiętam Cię dobrze i nieraz wspominam studenckie czasy w G. Od kilku tygodni należę do „Krainy" i zamiast Zosi posługuję się pseudonimem — „Imgra". Za buziaki — dziękuję i w pełni je odwzajemniam. Napisz do mnie, Basieńko, a odpowiem Ci chętnie".

ODBIORĘ Z RADOŚCIĄ

„Młody Orzeł". Nie mogę Panu podać żądanych informacyj o p. A., gdyż sama wiem bardzo mało o niej. Przypuszczam, że milczenie tej pani jest tylko chwilowe, skoro w ostatnim jej liście nie znalazł Pan nic takiego, co by wskazywało za tym, że korespondencję z Panem chce zlikwidować. Cierpliwości więc, a niewątpliwie wszystko się wyjaśni!

Przyrzeczone mi przez Pana zdjęcia — odbiorę z radością. Czekam na nie i serdecznie Pana pozdrawiam.

Na zakończenie jeszcze kilka słów z listu Pana:

„Hallo! „Kochanie"! Dziękuję za uścisk dłoni. Może Pani napisze do mnie?

„Samotny Sfinksie" — napisałem — czekam na odpowiedź!

Dlaczego nie odpowiadają mi na listy — „Maruszka" i „Romantyczka z Poznania"?

„UJĄŁ MNIE LIST „NIESTRUDZONEGO WĘDROWCA"...

„Mignon". Nie przypuszczam, aby uczucie, które zrodziło się w sercu Pani, miało być jedynym w życiu Pani. Kobieta może pokochać i drugi raz jeżeli napotka ponownie wartościowego człowieka i ten zainteresuje się nią. Wypadków podobnych spotyka się bardzo dużo, prawie na każdym kroku. Chyba i Pani je zna?

Za ostatni szczery list dziękuje Pani specjalnie i zapewniam Panią, że w życiu Pani ułoży się wszystko jak najlepiej. Powyższe, mam nadzieję, potwierdzą przyszłe listy Pani.

A teraz kolej na apel Pani:

„Gdybym znalazła w „Krainie" kogoś, kto by chciał ze mną korespondować, byłabym bardzo zadowolona. Mam 25 lat, jestem trochę pesymistką, lecz z natury raczej wesołą, średniego wzrostu o szaro-niebieskich oczach blondynką.

Ujął mnie list „Niestrudzonego Wędrowca", czy Pan ten nie zechciałby do mnie napisać?

Z „Młodym Sympatykiem" mamy równe upodobania. Przesyłam Panu moc pozdrowień.

Do „Miłego Blondynka" napiszę bardzo chętnie, ale wpierw muszę otrzymać od Niego jakąś wiadomość".

UŚMIECH SZCZĘŚCIA

Nie płacz, nie smuć się więcej,
gdy cię pocieszyć nie mogę,
tylko w słońce spójrz dzisiaj promienne
nim pójdziesz w drogę — — —
Nie płacz, któż cię wysłucha,
któż ciebie dzisiaj zrozumie —
jestem twym cieniem tylko,
cząstką zgubioną w tłumie...
Tak już się jakoś złożyło —
wybacz — tak być już miało,
że szczęście, jak ptak zraniony
w sercu zadrżało...
Pójdę, ty pójdziesz także,
to takie przecież jest proste...
i wątpię — czy serca zgubione
można złączyć tęczowym mostem — —
Nie płacz, nie smuć się więcej,
życie jest przecież tak cudne,
szczęście czyjeś zrozumieć — ja wierzę
jest trudno, jest bardzo trudno...

Józef Baranowski.

PRZESŁAŁAM

„Niestrudzony Wędrowiec". Nowelki przesłałam pod wskazanym adresem. Przypuszczam, że otrzyma Pan za nie tyle miłych słów, ile ja otrzymałam za moje od Pana.

Czy „Niestrudzony Wędrowiec" rzeczywiście opuścił już Pomorze?

POZDROWIENIE Z NAD NOTECI

„Wesoła Renata" przesyła miłe pozdrowienia „Rozkosznej Dziewczynce", „Jesiennemu Wichrowi", „Orliczowi" i „Wioślarzowi". Poza tym prosi wyżej wymienionych o listy i przedstawia się:

„Jestem szczupłą szatynką, średniego wzrostu, o bardzo pogodnym usposobieniu. Mieszkam nad brzegiem Noteci. Jeżeli ktoś, chciałby się więcej o mnie dowiedzieć, niech napisze do mnie".

„CZY MOGĘ?"..

„Sława". Życie jest nieraz trudne — widzę to z listu Pani — jednakże nie tak trudne, abyśmy mieli ulec w walce z nim. Dla tego i Pani musi walczyć, aby kiedyś było Pani lepiej. Słowa powyższe, niech dojdą do samotnej Pani, jako bodziec do dalszych, wytrwałych zmagań z losem. Każdy list Pani powitam serdecznie i odpowiem na niego życzliwie. Żegnam Panią mocnym uściskiem dłoni.

Dopisek Pani powierzam szczerej uwadze Sympatyków:

„Czy mogę łudzić się nadzieją, że otrzymam od kogoś kilka słów, zwłaszcza od niżej wymienionych?...

„Podyskutowałabym chętnie z „Markiem", „Irysem", „Niestrudzonym Wędrowcem" i „Zawiedzionym Sercem".

„Półdiable Weneckie", dlaczego milczysz? Skreśl do mnie kilka słów, boć jedną mamy wspólną drogę przez życie".

„TĘSKNIĘ ZA KIMŚ, KTÓRY BY MNIE ROZUMIAŁ"...

„Zosia J. z Pomorza". Zapomniała Pani o pseudonimie, więc wybrałam dla Pani powyższy. Nie wiem, czy ten wybór zadowoli Panią, ale ma Pani prawo pseudonim swój każdej chwili zmienić.

Apel, jak i część listu Pani, przedrukowuję:

„Mieszkam w małym miasteczku na Pomorzu. Dni moje płyną monotonnie, ale nie nudzę się, bo zawsze potrafię wyszukać sobie jakieś zajęcie. Ogromnie lubię długie spacery. Często tęsknię za kimś, który by mnie rozumiał i w tym też celu apeluję w „Krainie" o listy.

„Może napisze do mnie „Niestrudzony Wędrowiec"? Wzruszyła mnie Jego głęboka wiara.

O to samo, co „Niestrudzonego Wędrowca", proszę i „Nr. 703" oraz S. p. J. „Sydney".

UCIESZYSZ MNIE BARDZO!

„Mała Konwalijka". Za list Twój, przepojony zapachem wiosny, dziękuję Ci, Słodka Dziewczynko. Chciałabym zobaczyć ten cudny park, w którym spędzasz długie godziny i razem z Tobą podumać nad stawem, ocienionym olszynami. Może nadeślesz mi kiedyś, „Mała Konwalijko", kilka zdjęć z tych uroczych zakątków, a ucieszysz mnie bardzo?

Przyjm ode mnie dużo pozdrowień i napisz znowu!



Subtelna twarzyczka o drobnych usteczkach i oryginalnie rozpiętych brwiach, należy do **„Dzikuski"** wielkiej entuzjastki „Krainy".

SZCZĘŚCIE — TO CISZA...

Beznadziejna pustka codziennego życia
Coraz bardziej tłoczy i udręcza serce...
Rzadkie listy „z świata" — to jedyne scherza
W dziwnie monotonnej melodii dni moich.

Jednostajnych tonów odurza rytm głuchy —
Tak źle przy ich dźwiękach tułać się samotnie...
Cóż szczęście? To cisza — co już bezpowrotnie
Stąd odeszła chyba. (Cisza nie jest głuszą...)

— — Niezmiennie mijają dni równe bliźniaczo
Zaklęte w melodię obezwładniającą...
W sercu — żal, tęsknota i smutek gryzący,
Niezmiennie mijają dni równe bliźniaczo...

Danuta Wyrybkowska.

CHMURKĘ USUNĘŁAM...

„Wędrowna Chmurka". Chmurkę, która przyćmiła znowu radość Pani, już usunęłam.

P. D. W. dziękuję Pani za słowa uznania i pozdrawia Panią razem ze mną serdecznie.

„Tu — Ryszardowi" i „Małemu Stasiowi" przesyłam w imieniu „Wędrownej Chmurki" moc pozdrowień.

LIST Z KUJAW

„Jadeczka z kujawskich równin". „Ta wielka Rodzina", o której pisze Pani z takim sentymentem, przyjmie niewątpliwie list Pani serdecznie i odpowie na niego również serdecznym echem. Ślę Pani przyjazny uścisk dłoni i proszę Panią o nowy liścik.

„Jestem szatynką o ciemnych oczach, w których czai się wielka tęsknota za czymś, co zdobyć nie można za pieniądze — za sympatią i tym najszlachetniejszym uczuciem, którego pomimo 23 lat jeszcze nie zaznałam. Mieszkam w małym miasteczku, które kocham całą siłą mej młodej duszy.

Dla Sympatyków „Krainy" przesyłam moc miłych pozdrowień".

ODEBRAŁAM

„Echo Wsi". Pozdrowienia odebrałam i odwzajemniam je stokrotnie.

List „Złotego Słoneczka" ucieszył mnie, no i pozwolił mi poznać Panią jeszcze bliżej.

Przeznaczone przez „Echo Wsi" dla Sympatyków:

„Zasyłam serdeczne pozdrowienia „Tereni z pod Wrześni", dziękując za otrzymane — „Dziewczynce w mundurku", „Milutkiej Lenie", „Róży bez woni", „Rozkosznej Dziewczynce", „Sportowcowi — tenisiście", p. Stachowi D. z Rajgrodu i p. Stefkowi L. z Poznania".

HALLO! AUTORZE NOWELI — „PRAWDZIWE SZCZĘŚCIE"!

„Poznanianka". Żałuję, że Pani nie zdobyła się prędzej na odwagę, by do mnie napisać i nawiązać kontakt z „Krainą". W ten sposób straciła Pani wiele chwilek w życiu, które mogły okazać się naprawdę miłe i ciekawe. Pocieszam się jednak tym, że może Pani teraz nadrobić stracone i w tej myśli oddaję część listu Pani do przedruku:

„Zainteresował mnie Autor noweli: „Prawdziwe szczęście". Czy Pan ten czyta również „Krainę". Jeżeli tak, proszę, niech się nam przedstawi, względnie zamieści swoją fotografię — przypuszczam, że prośbę moją poprą gorąco i inne Czytelniczki?"

„PODYSKUTUJĘ CHĘTNIE"...

„Wenus" komunikuje:

„Sotius", chętnie z Panem podyskutuję. Czekam na pierwszy list, który proszę skierować na poste — restante, Puszczykowo, pow. Poznań dla nr. 1913.

„Złotowłosy Cherubinku" i „Wróżko Alu", jestem również sokolicą. Przesyłam Paniom, jak również „Szaremu Sokołowi" — „Czołem"! Czy zobaczymy się na zlocie w Katowicach, w czerwcu?

„Stęskniona Irko", napisz do mnie! Łączę dla Ciebie dużo pozdrowień".

Wyżej zamieściłam tylko część komunikatów Pani, gdyż na wszystkie... nie starczyło miejsca. Pozdrawiam Panią serdecznie i na zakończenie nadmieniam jeszcze, że twierdzenia P. K. z P. polegają istotnie na prawdzie.

Teczka Wujka Janusza

NOWELKA NIE NADAJE SIĘ DO NASZEGO PISMA

„Ala". Nowelka napisana z talentem, ale, niestety, nie nadaje się ona do naszego pisma. Może zamieści ją jakieś pismo dla młodzieży?

Za wyrazy uznania, jak również za serdeczne życzenia — dziękuję i życzę Pani również sukcesów w pracy na polu literackim.

POWIEŚĆ ZA SŁABA DO DRUKU

„Kalia". Nadesłaną przez Panią powieść przestudiowałam bardzo uważnie i doszłam do wniosku, jak to Pani słusznie przewidziała, że jest za słaba do druku. Przede wszystkim mało uwagi zwracała Pani na kompozycję i nie pogłębiła absolutnie psychologii żadnego z bohaterów powieści. Rękopisy zwracam Pani równocześnie pocztą i załączam bardzo miłe pozdrowienia.

W „MOICH POWIEŚCIACH" I I. K. P.

P. Lech. T. Poznań. Nowelkę — „Podwójne szczęście" i wiersz — „A brzozy szumią" — zamieszczę w „Moich Powieściach", nowelę „Ostatnia melodia" — poleciłem zamieścić redakcji I. K. P.

Pozdrawiam Pana w oczekiwaniu na nowe rękopisy.

W ODPOWIEDZI „FAKIROWI"

„Fakir". „Z wiosny tchnieniem" — słabe. Króciutki wierszyk „W dzień majowy" — zamieszczam. Łączę uścisk dłoni!

W DZIEŃ MAJOWY...

Ten piękny dzień majowy, pełen słońca
I białe, wonne bzy, od słońca złote,
Zrodziły w sercu znów moim tęsknotę
I ciche słowa, kochaniem gorące...
— — — — — — — — — —
...Znów, co odeszło — dziś przyszło z powrotem

„Fakir".

NIE MOGĘ!

„Ka — Ka — El". Nie mogę zakwalifikować to druku! Może następne prace Pana będą lepsze — proszę nadesłać. Pozdrawiam.

GDY CIEBIE STRACĘ...

Gdy ciebie stracę, nic mi nie zostanie,
Jeno wspomnień kryniczny zdrój.
Gdy minie wiosna, minie i kochanie
I szczęścia zgaśnie promyk mój.
I nikt i nic pocieszyć mnie nie zdoła,
Gdy pęknie nić, co łączy nas
I pustkę wielką czuć będę dokoła,
Gdy nas rozłączy srogi los.
I sama pójdę na życie tułacze,
Niosąc głęboki w sercu żal
I tylko wicher nade mną zapłacze
I ta tajemna, czarna dal.

„Blenka".

RYWALE

(Dokończenie ze strony 416).

skarby w świecie nie obejrzy się... Ale spotkanie to dało mu niejaki cień nadziei; — jego przewidywania, że rywalowi nie uda się zdobyć potrzebnej ilości „wody ognistej" — widać sprawdziły się: na jucznym reniferze Socha nie zauważył najmniejszych oznak obecności naczynia, przeznaczonego na ten napój.

A zatem jeszcze nie wszystko stracone. Doszedłszy do takiego wniosku, Socha nie myślał już o swoich dwóch jukach, ale przewiązał drogocenną beczułkę surowcowym rzemieniem, przewiesił ją przez ramię i równym krokiem ruszył naprzód przez step, śladami reniferów Tuczipa.

V.

Socha nie mógł dokładnie określić, ile czasu minęło od chwili, gdy porzucił na stepie swego renifera ze złamaną nogą, a gdy się w pewnej chwili obejrzał — spostrzegł ze zdumieniem, że daleko na horyzoncie, gdzie zgęstniał już zmierzch wieczorny, rozbłysło jasnym płomieniem złowrogie krwawe zarzewie pożaru i zwolna posuwało się za nim.

— Step płonie! — domyślił się od razu Socha. — Całe szczęście, że wiatr nieco osłabł... Ileż to zwierzyny zginie naprożno! — snuł swoje rozmyślania, przyśpieszając kroku.

Przeszedł tak może z kilometr i znowu się obejrzał; zobaczył wtedy, że promień ognia nie zbliża się, więc usiadł na wzgórku, by odpocząć, a jednocześnie przyglądał się uważnie coraz szerzej rozlewającym się po stepie płomieniom ognia.

— Strach pomyśleć, co się tam teraz dzieje! — zaświtało mu w mózgu.

Lecz nagle uwagę jego pochłonęło nowe, zupełnie niepojęte zjawisko: oto gdzieś daleko przed nim wyrwały się skądś lisy i mkną wprost w stronę, gdzie już cały horyzont objęty ogromnym pożarem; w tym samym kierunku pomyka dzika koza, a nieco dalej biegnie stado jeleni.

— Cóż się to dzieje?... To one wprost w ogień pędzą! — zawołał mimowoli Socha, a gdy się podniósł i spojrzał przed siebie, stanął jak wryty: przed nim, od obozowiska Musaja, posuwał się ku niemu taki sam krwawy promień, tylko o wiele bliższy, niż, ten, który spostrzegł poprzednio.

Jan blednie i kilka sekund stoi na jednym miejscu bez ruchu, niepewnie rozglądając się dokoła. W takich chwilach myśl pracuje z przeraźliwą wprost jasnością. A więc — nie ma ratunku! Z tyłu i przodu rozciągają się wprost nieprzebytymi zaporami płonące płomienie, a ściany te zetkną się daleko wcześniej, niż będzie możliwym przemknąć się między nimi i uciec do jeziora lub w góry. Rozpacz ogarnia nieszczęśliwego Sochę. Ale w głowie jego rodzi się nowa myśl, myśl szybka jak błyskawica... Step podpalono, umyślnie podpalono, ażeby go zgubić... Widocznie Musaj przyjął niechętnie Tuczipa, a ten na swym reniferze, najszybszym na całej Kamczatce, zdążył wyjechać przed paru godzinami daleko w step i podpalić go... Spłonie Socha, że ślad po nim nie zostanie, a Rojsa dostanie się skośnookiemu Tuczipowi... Na myśl o tym Jan jęknął boleśnie i naraz ogarnęła go tak straszna żądza życia, że jak zwierz dziki zaczął się rzucać na swym wzgórzu, a po chwili, jakby olśniony nową myślą, zatrzymał się nagle, potem jak zwierzę ryknął z radości i rzucił się ile tchu w piersiach z powrotem, w ślad za lisami i kozami...

Szalony ten bieg trwał dość długo. Socha potykał się, padał ale znów zrywał się i biegł dalej; przekrwawione oczy wyłaziły mu prawie z orbit, oddech stał się urywany, ochrypły, pot zlewał mu całą twarz, mieszając się z cieknącą z nosa krwią... A ogniste ściany z tyłu i przodu podsuwały się coraz bliżej do szamocącego się człowieka... Lecz oto znów słychać beczenie — to renifer ze złamaną nogą leży na dawnym miejscu i daremnie próbuje się podnieść. Socha przystaje na moment i przerażonym wzrokiem śledzi rzucające się bezradnie zwierzę, a potem w nagłym porywie lęku Jan żegna się.

Stoi tak kilka chwil na podniesionym z ziemi karabinie i dyszy ciężko, następnie podnosi broń do ramienia i wystrzałem w głowę dobija ranne zwierzę. Potem klęka, pełznie dokoła trupa i szczegółowo wyskubuje wszystką trawę na niewielkiej przestrzeni. Dopiero gdy spostrzegł, że ogień jest już bardzo blisko porzuca to zajęcie, zbliża się do renifera i szerokim swym nożem zaczyna kopać tuż przy nim głęboki dół do którego chowa drogocenną beczułkę z „ognistą wodą". Nie porzucił jej nawet podczas tego szalonego biegu, który odbył aż tu, choć rzemień obtarł mu ramię do krwi.

A płomień jest już prawie tuż — tuż...

Słychać już jego piekielny szum i trzask i przeraźliwe, przedśmiertne życie ginących zwierząt... Ani chwili nie ma do stracenia... Jan wyciąga szybkim ruchem nóż i jednym cięciem rozpruwa reniferowi brzuch w całej długości; następnie oczyszcza go z wnętrzności, kładzie się obok i — czeka...

A powietrze rozpala się już jak w piecu hutniczym: huczy i opala płuca. Dłużej nie można już wytrzymać. Socha ogląda się raz jeszcze dokoła, po czym chowa się cały w brzuchu renifera.

Z piekielnym szumem, trzaskiem i świstem spadły obie ściany na siebie i zlały się w jedno...

VI.

Biedna Rojsa nie spała całą noc, gdy się dowiedziała od ojca, że step płonie. Serce jej wyczuwało nieszczęście, toteż z nienawiścią spoglądała na spokojnie chrapiącego Tuczipa; w końcu nie wytrzymała jednak, ale zbliżyła się do Musaja i zaczęła go budzić. Stary spał czujnie i od razu się obudził.

— Czego chcesz? — spytał cicho, aby nie obudzić śpiącego gościa.

— Ojcze! nie daj mnie Tuczipowi...

— Jeśli Socha przywiezie „wody ognistej" — nie dam.

— Nie przywiezie... Jan już nie przyjedzie, zaszlochała żałośnie Rojsa.

— A cóż się stało?...

— Stepy płoną... To on podpalił — wskazała na śpiącego. — Socha spłonie i nigdy nie przyjedzie do nas...

— To oddam cię Tuczipowi!... To łotr, dwujęzycznik, ale rzeczy przywiózł ładne. Oddam.. Nie proś nawet!...

Talgańczyk poruszył się we śnie i coś szepnął. Musaj machnął ręką na córkę i odwrócił się.

Rojsa zrozumiała, że z ojcem nie warto było dochodzić się, wróciła więc na swoje miejsce z postanowieniem, że lepsze jezioro, niż zostać żoną znienawidzonego przybysza. W końcu znużenie wzięło górę i zmęczona ciężkim dniem Rojsa zasnęła.

Ale sen miała tym razem straszny. Śniło jej się mianowicie, że Tuczip nakłada jej naszyjnik z owych błyszczących kłódek na szyję i ciągnie ją do swego dalekiego i ponurego kraju... Ona wyrywa się, ale silny talgańczyk nie puszcza; naraz trzasnął zamek w jednej z kłódek i zbudziła się.

Wzeszło już słońce i teraz bije swymi pierwszymi promieniami prosto w szeroko odsłonięte wejście jurty, przed którą siedzą mężczyźni: ojciec z Tuczipem i leniwie rozmawiają. Są pewni, że Rojsa śpi, więc się nie krępują.

— Ot, stary! — mówi Tuczip. — Pokaż, że słowo twoje prawdziwe, że usta nie kłamią — oto i nowe słońce przyszło, a twojego Sochy wciąż nie ma.

— Nie ma — zgadza się ponuro Musaj. — Bierz Rojsę, twoje szczęście, ale... czyby nam nie poczekać jeszcze do południa, może Socha przyjedzie?

— Nie myśl nawet o tym, Socha nie przyjedzie tu nigdy! Zapewniam cię, że nie przyjedzie...

— A czemuż to miałby nie przyjechać, ty psie talgański? — rozlega się naraz przy wejściu silny głos męski i w blasku rannego słońca, wprost przed obu mężczyznami, wyrosła nowa postać.

Mężczyźni drgają na ten widok; Tuczip z zabobonnym strachem patrzy na przybyłego, a Rojsa z krzykiem radości rzuca się ku niemu... Tak to on, on sam... Brudny, zakopcony, z osmoloną brodą i włosami, ale to on, Jan Socha. Musaj pośpiesznie ogląda go od stóp do głowy, spostrzega potężnych rozmiarów beczułkę i z wielką surowością zwraca się do talgańczyka, aby mu nawymyślać.

Ale po nim i ślad się już zatarł i tylko tętent ryżego renifera, najszybszego na całej Kamczatce dolatuje do uszu starego. Socha pojmuje, że wygrał sprawę, więc w poczuciu własnej godności podaje Musajowi garnuszek z „wodą ognistą" i mimochodem tylko informuje, że juki zostały w ogniu.

— To nic, Janie to nic nie znaczy, w zamian twoich zostawił swoje podarki Tuczip — odpowiada rezolutnie stary Musaj, wskazując na worki zbiegłego talgańczyka i odchodzi na bok ze swym płynnym skarbem w rękach.

KONIEC.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Kwadrat magiczny

pod Wa — ry.

A	A	A	A
A	A	A	D
D	W	M	M
M	O	R	R

Z liter w kwadracie ułożyć tak cztery wyrazy w kwadracie, aby przy czytaniu pionowo i poziomie powstawały te same wyrazy.

Bilety wizytowe

Rawecki	T. Satyra	Lucy Izanecka
E. Pucki	Gęzarski	

Jaki zawód tych osób?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 28 maja br.

Rozwiązanie zadań z nr. 19 „Moich Powieści." Kwadrat magiczny: 1. Ratunek, 2. Tawerna, 3. Nirwana, 4. Krawaty, Szarada Katakumby.

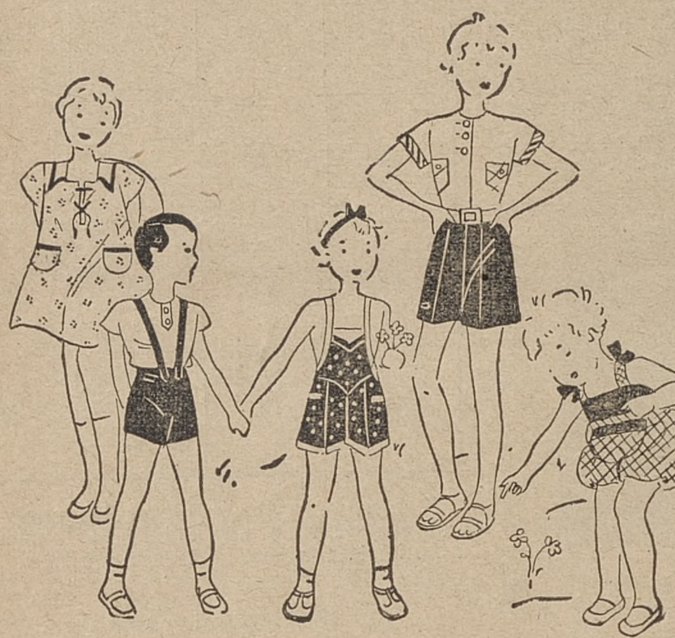
Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Maria Kozłowska — Katowice, Wanda Tokarska — Klemensowo, „Wacusiewicz", Emil Garstecki — Warszawa, Adela Wassermann — Morsztyn, Józef Ollek — Piaski, Jadwiga Kostecka — Wyganowo.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Marii Kozłowskiej z Katowic i Emilowi Garsteckiemu z Warszawy.



Czworonożne pupilki...

Raj kobiet



76969 76971 76970 76973 76974



76961 76956 76959 76960

Wiosna i lato, to okres swobody i radości dla dziatwy. Z uśmiechem na ustach wybiega ona do ogrodu, do lasu, lub na łąki, aby pobiegać za kolorowymi motylkami, nazrywać kwiatków i opalić się na brązowo w gorących promieniach słońca.

Aby jednak radość i swoboda była pełna, dzieci muszą być odpowiednio ubrane. Nie mogą mieć ubranek zbyt ciepłych i krępujących ruchy, ale koniecznie pod każdym względem odpowiednio dostosowane.

Obok podajemy najróżnorodniejsze fasony bardzo praktycznej garderoby dziecięcej, przeznaczonej na porę letnią. Kroje tych ubranek można nabyć w naszej administracji, po uprzednim nadesłaniu 1,00 zł za sztukę.

Dlaczego kobiety malują sobie oczy!

Zapewne przez kokieterię. Zalotność bezmyślną. Chęć podobania się. Moda. To wszystko przyszło później. Powodu czernienia powiek należy szukać głębiej i to od najdawniejszych czasów.

Zwyczaj wzmacniania brwi i rzęs oraz przyczerniania powiek i oprawy oka pochodzi z północnej Afryki gdzie hołdowały mu już starożytne Egipcjanki, a wytłumaczenie przyczyny jego znajdujemy dopiero później w nakazach Mahometa. Religia proroka zaleca bowiem kobietom barwienie oprawy oczu. Wiele praktyk religijnych ma ściśle określony cel nieraz zapomniany, a praktyka pozostaje. Kulty religijne mają jako podstawę nie tylko zdrowie ducha, ale i zdrowie ciała. Np. zwyczaj chrześcijański wstrzymywania się od pokarmów mięsnych w dni postne ma na celu nie tylko umartwienie ciała, ale i oczyszczenie tegoż ciała przez usunięcie z organizmu zaburzeń wywołanych zatruciem mięsnem.

Podobno obyczaj barwienia powiek, brwi i rzęs węglem roślinnym, co nakazuje Mahomet, wypływa stąd, że węgiel roślinny zapobiega, a nawet leczy w pewnym stopniu zapalenie spojówek, chorobę oczu rozpowszechnioną w Arabii kraju ubogim w wodę, a bogatym w lotny piasek.

Eleganckie panie, szczycące się lśniącymi na koral lakierowanymi paznokietkami wymanicurowanych rączek przekonane są, że moda ta, upodabniająca ich kończyny do pazurków z błyszczącego szkła, jest zupełnie nowością. Tymczasem i ten zwyczaj przyszedł ze Wschodu, jako następstwo zalecenia Mahometa, by kobiety pogrążyły końce palców w barwniku henny. Henna bowiem posiada własności dezynfekujące, zapobiega chorobom, sadowiącym się na koniuszkach palców i wzmacnia paznokcie. Religia więc troszczy się o to, by mieć wśród adeptów zdrowych, nie tylko moralnie ale i fizycznie.

Post chrześcijański i Ramadan muzułmański dążą do jednego: umartwienie ciała i oddanie go higienicznej diecie.

Mnóstwo innych obrzędów wszystkich religii mają na celu praktyczne przestrzeganie czystości i higieny. W Chinach chłopcy i dziewczęta uprawiający kult Buddy barwią sobie końce palców na niebiesko. Ten wschodni zwyczaj, który u nas uchodzi obecnie za szczyt wyrafinowania mody, pochodzi również z przykazania Buddy. Mianowicie barwę niebieską przyrządza się z aloesu, a ten przez swój smak gorzki zmusza dzieci do zaniechania szkodliwego dla zdrowia przyzwyczajenia obgryzania paznokci.

Rady praktyczne

Zapach papierosów usuwa przepłókanie ust odwarem z naparzonego cynamonu. Skoro już piękne panie stały się namiętnymi palaczkami papierosów, ten niewinny środek pozwoli im usuwać w łatwy sposób zapach tytoniu i nikotyny, zanieczyszczający oddech nieodpowiedni dla pięknych usteczek.

Przykry swąd z kuchni, który powstaje, gdy tłuszcz rozleje się na blachę, można zneutralizować, wycierając to miejsce natychmiast cebulą.

Grzebienie i szczotki do włosów czyści ciepła woda z dodatkiem amoniaku. Zatłuszczony brud na grzebieniach i szczotkach rozpuszcza się zupełnie i po przepłókaniu czystą wodą wyglądają jak nowe.

Plamy z jodyny na rękach czy twarzy zmywa się czystym alkoholem. Zabieg ten trzeba wykonać czystą wodą, póki jodyna nie spali skóry.

Plamy z jodyny na tkaninach znikną, gdy zwilżać je będziemy tiosiarczanem sodu. Płyn ten znany jest foto-amatorom jako jeden ze składników, potrzebnych do wywoływania klisz.

Lustra czyści się parafiną lub stearyną, którą po rozgrzaniu powleka się taflę lustrzaną. Ściera się ją potem miękką szmatką lub irchą. Czasami trzeba to powtórzyć kilka razy.

Cytryny przechowuje się najdłużej w słojach z zimną wodą, zmienianą jednak koniecznie co dzień.

Odświeża powietrze w pokoju chorego olejek terpentynowy, wlewany kroplami na gotującą się wodę. Powstająca para ma miły zapach żywiczny.

Jeżeli świecą stearynową poplami się ubranie, łatwo je odczyścić, prasując te miejsca gorącym żelazkiem przez bibułę, która wciąga w siebie stearynę.

Plamy z tłustych smarów rozmiękcza się masłem, które wraz z roztartą plamą usuwa się delikatnie przy pomocy noża. Pozostałą plamę usunie natarcie francuską terpentyną.

Zardzawioną bieliznę wygotowuje się w roztworze kwasku cytrynowego. Jeżeli chodzi o mniejsze kawałki to wygotować je można w soku cytrynowym.

Aby się nie przypalały naleśniki należy nasypać na gorącą patelnię soli, potem patelnię dobrze wytrzeć i dopiero topić masło i smażyć naleśniki.

ADAM CZEKALSKI

Przedruk wzbroniony!

Rywale

(NOWELA).

Nie wytrzyma przy wódce!... Ale bo też nie napróżno wziął Karpowicz cztery sokole za ten „ładunek"...

I znowu, prawie rozrzewnieniem miłosnym spojrzał na drogocenny ładunek.

Lecz równocześnie zaczęła się rodzić w głębi jego duszy wątpliwość.

— A co — jeśli ten czort talgański przywiezie jeszcze większą beczułkę?...

Ale nie! Skąd on by ją wziął? Może u łowców wielorybów? O, ci będą zadowoleni, gdy im samym starczy choć do jesieni! Więcej nad butelkę nie oddadzą za żadną cenę...

Rozmyślania te uspokoiły go całkowicie, to też Socha zaczął nawet pogwizdywać, potem zanucił piosenkę z nad dalekich brzegów Wisły, gdy nagle stało się coś zgoła nieoczekiwanego... Sznur, na którym szedł juczny renifer został szarpnięty tak gwałtownie, że radosny zalotnik z trudem tylko utrzymał się na siodle; jednocześnie rozległo się żałosne beczenie. Jedno spojrzenie wystarczyło, by zrozumieć, co się stało: oto renifer utknął jedną nogą w norze stepowego lisa i teraz leżał na boku, becząc żałośnie i spoglądając smutnie na stojącego nad nim gospodarza. Wypadek był daleko poważniejszy niż przypuszczał Socha: renifer złamał nogę i nie można było nawet marzyć, by powstał.

Trzeba go więc było zostawić na miejscu, a juki przełożyć na konia.

Lecz gdy Socha ukończył jedną część roboty i podniósł worek, by go włożyć na wierzchowca którego kupił na spłaty od tego samego Karpowicza — z konia i ślad nie został... Poczuwszy się wolnym, uznał on snać swoją misję za skończoną i ruszył w drogę powrotną drobną rysią, po czym zniknął za wzgórzem nierównej powierzchni.

Idąc piechotą, pechowy zalotnik mógł wprawdzie dojść wieczorem do obozu starego Musaja, ale przychodząc bez podarków, z góry mógł uważać sprawę swoją za przegraną. A o tym znowu, by dojść tam z jukami odpowiedniemi dla renifera, nawet marzyć nie można było.

Zostawała jedna tylko nadzieja, że i Tuczip z jakich przyczyn może się nie zjawi. Lecz tu czekało Sochę bardzo niemiłe rozczarowanie, bo zanim zdążył o tym pomyśleć, silny wiatr przyniósł doń ostry głos męski, przynaglający renifera, a po paru minutach i sam talgańczyk wyłonił się zza najbliższego wzgórza. Obaj zalotnicy widzieli się wzajemnie doskonale, a wąskie ślepka Tuczipa błysnęły radośnie na widok Sochy w położeniu bez wyjścia. Ale zamknął je natychmiast i, mrucząc piosenkę klusem, przejechał obok Sochy. Ten nie zatrzymywał go — po pierwsze dlatego, bo nie pozwalała mu na to ambicja, a powtóre, bo zrozumiał, że talgańczyk ogłuchł teraz na oba uszy i za żadne

kaniu, gdzie nie jestem pewna swego życia! Opuszczajmy jak najprędzej to okropne miejsce!

ROZDZIAŁ CXX.

Niezasłużona nienawiść

Pani Willemer chciała koniecznie doktorowi Silasowi wmówić, że Sylwia jest umysłowo chorą.

Osobie, która była mniej doświadczoną i mniej bezwzględną, pewno by się to nie było udało, ale pani Willemer, jako córka doktora, posiadała rozległe wiadomości z zakresu medycyny, a po drugie nie wahała się użyć żadnych środków, byle tylko prowadziły do wytkniętego przez nią celu.

Niesumienna kobieta podała bezbronnej Sylwii szkodliwy trunek, który podrażnił cały jej system nerwowy.

Gdy Sylwia weszła do jadalni, sparta na ramieniu swej towarzyszki, oczy jej błyszczały niespokojnym blaskiem, a policzki były nienaturalnie zarumienione.

Dyrektor Silas wyszedł naprzeciw obu pań i przemówił do nich uprzejmie. Sylwia roześmiała się na głos.

— Czy wolno się spytać, jak się pani podoba urządzenie naszego sanatorium? — zapytał dyrektor zdumiony dziwnym zachowaniem Sylwii.

— Niech mi pan powie, gdzie pan ukrywa hrabiego Wildensteina? — błagała go Sylwia.

— Ależ, łaskawa hrabianko, przysięgam, że nie znam hrabiego Wildensteina! — bronił się Silas.

— O, ja nieszczęśliwa! — lamentowała Sylwia, załamując białe ręce — po co opuszczałam swoich rodziców! Na pewno martwią się moim zniknięciem!

— Przecież pani uspokoiła swoich rodziców, wysyłając im ten długi list — uspakajała pani Willemer zirytowaną dziewczynę.

Sylwia wybuchnęła spazmatycznym płaczem i wymawiała jakieś dziwne wyrazy bez związku, potem zaczęła się skarżyć na okropny ból głowy i padłszy, na obok stojące krzesło, oparła głowę na rękach i po kilku minutach mocno zasnęła.

— No, cóż pan teraz powie na naszą pacjentkę? — zapytała pani Willemer, a w głosie jej można było wyczuć trochę triumfu.

— To są w samej rzeczy bardzo niepokojące objawy — odparł doktor, obrzucając chorą współczującym wzrokiem. — Czy pani poczyniła prócz tego, jeszcze jakieś spostrzeżenia?

— Pacjentka przywłaszczyła sobie w przeciągu jednej godziny z tuzin nazwisk — kłamała pani Willemer. — Prócz tego pisała długi list. Zaszłam ją z tyłu i spostrzegłam, że powtarzała stale jedne i te same słowa. Wszystkie cztery strony arkusza były zapisane, mniej więcej w ten sposób, jak pisze uczennica w zeszycie kaligraficznym, powtarzając jedno zdanie niezliczone razy.

— A czy list był zaadresowany? — badał dyrektor dalej.

— Nie — kłamała dalej Willemerka — zamiast adresu, napisany był jakiś dwuwiersz. Jest to wystarczające, aby sobie wyrobić sąd o tym, jakiego rodzaju jest szał naszej nowej pacjentki.



Najnowsze zdjęcie króla Jerzego VI z małżonką.

Dyrektor ujął rękę Sylwii i badał puls.

— Tętno przyśpieszone i nieregularne — rzekł po chwili — trzeba pacjentkę zaprowadzić do jej pokoju i położyć do łóżka. Obawiam się, że u niej zanosi się na jakąś poważną chorobę.

Pani Willemer zadzwoniła i rozkazała wchodzącemu lokajowi, aby zawołał dozorczynię Szarllotę i Fryderykę.

Zjawiły się natychmiast.

— Zanieście zaraz pacjentkę do jej pokoju — rzekła rozkazującym tonem Willemerka — i połóżcie ją do łóżka.

— Niech pani otoczy chorą jak największą troskliwością i opieką! — zadysponował przełożonej dyrektor.

Oczy Willemerki zabłysły znowu złowrogiem ogniem, ale spuściła oczy w dół i zaczęła rozdawać zupę, którą wniósł służący.

Przy stole pani Willemer prowadziła rozmowę wyłącznie z dwoma asystentami, bo dyrektor wbrew swemu zwyczajowi był bardzo milczący. Pacjenci wtrącali od czasu do czasu swoje uwagi, które jednak po większej części nie dotyczyły prowadzonej rozmowy. Niektórzy z nich gapili się tylko bezmyślnie, wsadzali widelce do szklanek z wodą, dodawali sobie musztardy do kompotów, sypali sól i pieprz na swoje legüminy i wykonywali inne niedorzeczności.

Willemerka musiała wciąż uważać na siedzących przy stole pacjentów i zwracać uwagę dozorców na to, co chorzy wyprawiali. Mimo, że czuwała nad wszystkim, miała jednak jeszcze dość czasu, aby się dobrze posilić i podtrzymywać żywą rozmowę przy stole.

Jedno jej się tylko nie udało, mianowicie, pomimo swej elokwencji, nie zdołała zwrócić na siebie uwagi dyrektora Silasa, który ku największemu jej smutkowi pozostawał przez cały czas roztargniony i zamyślony.

Nie czekając końca obiadu wyszedł, aby jeszcze raz stwierdzić stan chorej.

Zastała Sylwię w jakimś gorączkowym śnie. Piękna jej twarz była rozpalona, tętno przyśpieszone, a pierś podnosiła się i opadała kurczowo.

— Co za szkoda — pomyślała Silas z głębokim wzruszeniem — że w tym anielsko pięknym ciele mieszka chory umysł.

Zapisał jej jakieś uspakajające lekarstwo i nakazał Szarlocie ostro, aby je dawała chorej co godzinę.

Lekarstwo to, mające kolor jasnoróżowy, sporządzono natychmiast w laboratorium doktora. Nie mogło ono jednak pomóc chorej, bo Willemerka, w swej ślepej nienawiści, wylała zawartość butelki i zastąpiła ją wodą, którą, przez dodanie soku malinowego, zabarwiła na kolor różowy, dla zatarcia śladów oszustwa.

Lekarz, który pacjentkę wieczorem jeszcze raz odwiedził, zauważył, że gorączka zamiast opaść, wzmogła się jeszcze bardziej.

Rozkazał więc dozorczyni, aby noc spędziła przy łożu chorej i aby go zbudziła, skoro tylko zobaczy, że stan chorej się pogarsza.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

ADAM CZEKALSKI

10)

Sen o zemście

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

Myśl ta głęboko utkwiła mu w mózgu. Długo nosił ją w głowie, ważył w sobie, rozsyłał ludzi na zwiady, aby się wywiedzieć, na jaką jeszcze siłę wśród szlachty liczyć może, a tymczasem czekał okazji, któraby mu pozwoliła posłać Radziwiłłowi gałązkę oliwną. Jakoż okazja ta zdarzyła się niebawem. Do Wołczyna przyjechał wódz frakcji kościelnej Familii, ksiądz biskup Massalski i jego to umyślił Czartoryski posłać z ową gałązką oliwną do Radziwiłła.

Obaj dostojni panowie zamknęli się w komnacie i długo radzili, a na drugi dzień skoro świt biskup-poseł w godnej asystencji całej chorągwi wyruszył do Nieświeża.

Radziwiłł przyjął wysłannika Familii uprzejmie, domyślając się wielkiej gry kanclerza, ale roztropnie milczał, nie chcąc się niczego domyślać, a czekając, co poseł powie. A poseł zaczął również bardzo ostrożnie, nie zdradzając się długo czyim jest wysłannikiem, jeno dając do zrozumienia, iż próbuje akcji pojednawczej z własnych pobudek.

— Waśnie i niezgody dzieci jednej matki — mówił poseł słodkim głosem — godzą w siłę i moc Rzeczypospolitej i radość budzą u jej wrogów.

— Jam waśni nie wszczynał, panie kochanku — odrzekł na to surowo Radziwiłł — o czym wiesz tak samo dobrze, wasza miłość, jako ja sam.

— Ja też waszej książęcej mości nie stawiam zarzutów, uchowaj Boże, bo znając jego zacne intencje, jakie masz dla dobra publicznego, pierwszy jestem gotów modestię w. ks. m. za wzór innym postawić. I król jegomość, któremu daj Panie Boże długie panowanie, często daje się głośno słyszeć z pochwałami moderacji w. ks. mości i nieraz powtarza: „jeden książę Radziwiłł zdolen jest pokój w Litwie przywrócić".

Książę Karol spojrzał na posła tak, jakby go chciał spytać: „kpisz, czy o drogę pytasz"? A głośno rzekł:

— O, nie jestem godzien pochwał j. kr. m., boć chudopachołek ze mnie, który w pokoju pracować jeno pragnie na chleb codzienny. Ale cóż, o pokój teraz w Litwie tak trudno, jak w czerwcu o śnieg.

— Rzeczą starszych braci jest ustanowienie pokoju w W. Ks. Litewskim.

— Nikt więcej, panie kochanku, ode mnie nie pragnie go dla tego kraju. Toż ja, proszę waszej miłości, nowennę na intencję pokoju codziennie odmawiam i biczować się każę.

— W księgach niebieskich będzie to w. ks. m. zapisane na korzyść... Ale obok modlitwy, bardzo potrzebnej, wymagany jest i czyn, bo każda przyczyna ma swój skutek: dobra — dobry, zła — zły. Złe rodzi złe. Tak jest i tutaj. Wieczne niepokoje w Litwie, to zło, które się pleni, a które należy usunąć. I gdybyś w. ks. m. raczył podjąć się tego zbożnego dzieła, wierzę, iżby pokój w Litwie na długo nastał.



W Deidesheim, jednym z prowincjonalnych miasteczek niemieckich, istnieje od 500 lat zwyczaj wystawiania kozła na licytację w okresie Zielonych Świątek. Po zlicytowaniu burmistrz miasta daruje kozła najmłodszej parze małżeńskiej.

Radziwiłł znowu spojrzał na posła ciekawie i przejrzał go na wylot. O cóż chodziło temu wysłannikowi? Aby on, Radziwiłł, pierwszy wyciągnął rękę do zgody, by się mogło wydawać, iż to on jest stroną słabszą i winną. Lecz diablo krucho być musi koło księcia kanclerza — pomyślał Radziwiłł — gdy gałązką oliwną walczyć zamierza.

Książę uśmiechnął się do swoich myśli.

— Przecież ja wojny z nikim nie prowadzę.

— Tego i ja nie twierdzę, wasza miłość, ale tuszę, iż powagą swoją mógłbyś powstrzymać Ciechanowieckich od popełnienia szaleństwa na stronnikach i majętnościach księcia kanclerza.

— Wszakże sądy warszawskie orzekły, iż mogą oni dochodzić krzywd swoich osobiście, co i czynią. A krzywdy te są zbyt wielkie i zbyt krwawe. Toż naprzód ów infamis Strutyński, córę swoją, w zamęście Janowi Ciechanowieckiemu daną, prawie gwałtem odebrał, potem starostwa go pozbawił, brata mu zabił, książe kanclerz wiernego druha powiesił. ...To są krzywdy, panie kochanku, których się płazem nie puszcza, choćby jaśnie oświecony książe Michał nie kanclerzem państwa, ale nawet samym sułtanem tureckim był. I zważ przy tym, wasza miłość, iż ludzie ci, panie kochanku, pod moją bezpośrednią opieką stoją, to są moi ludzie.

— Pojmuję żałość waszej miłości — westchnął biskup — i nie dziwuję się mirowi, jakim cieszysz się, książe, wśród braci szlachty, ale z drugiej znowu strony, co się już stało, to się odstać nie może i ta niezgoda trwać nadal nie powinna. W imię miłości braterskiej powinniśmy zapomnieć uraz, darować sobie przewiny i podać ręce do zgody.

— Jam zawsze chętny, o ile książe kanclerz nie będzie utrzymywał i protekcją swoją osłaniał obwiesiów, którzy moich ludzi mordują.

— Warunki zgody możnaby omówić — połknął poseł gorzki zarzut.

— Jakieżby je wasza miłość postawił?

— Jeden i najgłówniejszy... — urwał poseł, patrząc na Radziwiłła.

Radziwiłł pilnie nastawił ucha.

— Byś wasza miłość — dokończył następnie — odstąpił Ciechanowieckich.

Porwał się książę wzburzony od stołu.

— Za kogo mnie wasza miłość i książe kanclerz bierzecie! — zawołał. — Ja, panie kochanku, nie tylko Ciechanowieckich nie odstąpię, ale wręcz oznajmiam, iż każdą krzywdę im wyrządzoną, będę uważał za własną i osobistą i odpowiednio postąpię...

Biskup powstał również.

— Wasza miłość źle zrozumiałeś moją intencję...

— O, przeciwnie, pojąłem ją znakomicie — przerwał gwałtownie Radziwiłł. — Pragnie książe kanclerz, skoro mnie samego dosięgnąć nie może, szukać pomsty na wiernych mi plenipotentach. Czy wasza miłość liczy mnie godnym takowego postępku, panie kochanku, bym zdradził przyjaciół w potrzebie?

Wobec tak stanowczego oświadczenia, nie pozostawało posłowi nic innego, jak księcia pożegnać, co też, po wymienieniu paru jeszcze uprzejmych zdań na temat obojętny — uczynił.

XVIII

SPOTKANIE

Aby poprzeć osobiście swoją sprawę rozwodową w stolicy, wybrał się tam starosta opeski późną jesienią i załatwiwszy sprawę — wracał do swej Opsy.

Padający od tygodni deszcz, rozmoczył drugi, tworząc z nich topieliska nie do przebycia. Wieczór już zapadł i ćma zapanowała taka, choć oko wykol. Na krok nic widzieć nie można było przed sobą, a na dobitek i konie już tak były zmordowane, że z wielkim tylko trudem posuwały się naprzód.

Drzemiąc w kolebce, zdawszy trud wydobycia wozów z tej topieli na służbę, rozmyślał pan starosta o sprawach publicznych i swoich prywatnych, kiwając się chwilami i „wożąc żydy".

Walka podjazdowa przeciwko Familii straciła już była nieco ostrości, ale wciąż jeszcze trwała, bardzo wiele krwi psując księciu kanclerzowi, któremu w dalszym ciągu nie przestawano grozić najazdem za śmierć niewinną Wołod-

kiewicza. Stary wyga Strutyński, umknąwszy szczęśliwie spod miecza w Brasławiu, ukrył się gdzieś tak dokładnie, że żywy duch o miejscu jego pobytu nie wiedział. Oburzenie szlachty na familiantów wciąż jeszcze na całej Litwie było żywe, ale że to już pierwsza burza minęła, więc też i rozjeżdżać się poczęto do domów, bo i deszcze jesienne do tego zniewalały. Lecz owa szlachta, krzycząca, sejmikująca i odgrażająca się, to dla księcia kanclerza było jeszcze niebezpieczeństwo najmniejsze. Największym byli Ciechanowieccy, wrogowie zajadli i nieprzebłagani, tym jeszcze śmielsi i groźniejsi, iż za nimi stał potężny Radziwiłł Panie Kochanku, który zgóry ich rozgrzeszał za wszystko zło księciu kanclerzowi wyrządzone i zarazem groził, iż najmniejszą dalszą krzywdę Ciechanowieckich jak swoją będzie mieczem odbierał.

Że zaś król jegomość August III był już prawie konający, a plany Familii sięgały aż do tronu i zgoda a pomoc za wszelką cenę były im potrzebne, nader często dumał książę kanclerz nad sposobami ugłaskania Ciechanowieckich i pogodzenia Jana z teściem.

Kolebka pana starosty wlokła się bardzo powoli po rozmokłym gruncie drogi, a on kiwał się wewnątrz niej, napół senny i myślał o niewiernej. A gdy myślał o niej, zazwyczaj zjawiała mu się ona przed oczyma jak duch jaki lub zjawa i wtedy żal serdeczny go ogarniał, żal taki, jakby go kto ręką za serce mocno ściskał.

Mimo niewiary, mimo tyle zła, ile mu ona wyrządziła, mimo morza krwi wylanej — on nigdy nie przestał jej kochać. Ta miłość była jego przekleństwem, bo ani jej się pozbyć, ani zapomnieć o niej nie mógł. Już ona przystała tak do niego, jak szata Dejaniry, że gdy próbował ją odedrzeć, rwał zarazem i serce na kawały.

Myślał o tym wszystkim teraz pan Jan, a myśli te mieszały się z sennymi myślami na jawie i nie były sennymi marzeniami.

W pewnej chwili kiwnął się raz i drugi głębiej i westchnąwszy, zapadł w sen. Tymczasem wozy, wydobywszy się z topieliska na równiejszą i twardszą nieco drogę — ruszyły żwawiej, ale po paru minutach znowu pogrążyły się w mazi błotnistej i zaczęły posuwać się nogą za nogą.

Śniła się teraz panu Janowi urocza Hedwige, którą widział idącą ku sobie jakby z jakiejś ogromnej oddali, spowitą w welony chmur i mgły, uśmiechniętą, wyciągającą dłonie ku niemu, a taką nieziemsko piękną, taką uroczą, że staroście aż w oczach się ćmi, gdy na nią patrzy.

Urocza Giga przemawia coś do niego, niby to łagodnie i słodko, ale staroście wydaje się, iż słowa te brzmią groźnie i jakby męsko.

Kiwnął się pan Jan raz i drugi na bryce i otworzył powieki. Oficer Sulima, dowodzący żołnierzami, jechał tuż przy kolebce i mówił coś do starosty.

— Co? Co się stało? — spytał sennie pan Jan.

— Wasza miłość, zbłądziliśmy — odrzekł oficer.



Król rumuński Karol otworzył w Bukareszcie ogromną wystawę. U wejścia na terytorium wystawy powitał króla szpaler dziewczynek.

— Jak to? Dlaczego? — pytał dalej wciąż jeszcze napół senny pułkownik Ciechanowiecki.

— Powinniśmy już być przy karczmie drohostajskiej, a tu las dokoła.

— Każ waćpan zapalić żagwie i wyślij ludzi na penetrację, a koniom daj spoczynek. Poczekamy.

Oficer oddalił się dla spełnienia rozkazów, a pan starosta próbował przeniknąć wzrokiem ciemność, aby się rozpatrzeć, gdzie się znajdują. Karczma drohostajska, toż to już jeno ręką sięgnąć do Opsy. Ale gdzież owo jest ta karczma?

Zapalone żagwie rzuciły migotliwy blask na błotnistą drogę i dookolny las, tworząc cienie fantastyczne, ruchome, drgające i przesuwające się z miejsca na miejsce.

Oficer znowu przysunął się do kolebki pańskiej.

— Wydaje mi się, wasza miłość — zameldował — że zamiast na lewo ku karczmie drohostajskiej, skręciliśmy na prawo ku Wołczynowi.

— Każ waćpan ludziom zbadać tę drogę. Jeśli to gościniec ku Wołczynowi, winna tu być w lesie karczma. Jakoś tam dociągnęlibyśmy do niej i zanocowali.

Po godzinie oczekiwania wrócili z penetracji wysłannicy i oznajmili, iż istotnie jest to droga do Wołczyna, a o kilka staj stąd, w borze, stoi karczma.

— Ruszajmy tedy ku niej — rozkazał starosta.

Pochód zaczął posuwać się naprzód wolno, gdyż droga i w lesie była rozmokła i błotnista, ale, że pachołkowie oświecali pochodniami nieco przestrzeń, mogły konie iść śmielej i po pewnym czasie wydobyły wozy z błot na znacznie suchsze miejsce. Droga tu już była piaszczysta, a więc znacznie suchsza i równiejsza, to też i podróż odbywała się znacznie prędzej.

Po pewnym czasie w dali przed nimi mignęło światełko, a gdy podjechali bliżej, zamajaczyły im ponure budowle karczmiska.

Na dziedzińcu karczmy zastali jakieś wozy, karoce i pojazdy wyprzężone z koni i kilka ludzi, których barw z powodu ciemności, rozpoznać nie mogli. Na próg karczmy wybiegł karczmarz z latarnią i podniósłszy ją wysoko nad głową, patrzył ciekawie ku nowoprzybyłym nie śpiesząc się z powitaniem.

— Hej! Żydzie, sam tu! — huknął w ćmę nocną pan starosta, wykopując się spod der i wilczur.

Karczmarz, mały, wątły Żydek przybiegł natychmiast do kolebki.

— Czyje to wozy? — spytał pan starosta opeski.

— Jaśnie oświeconego księcia pana z Wołczyna.

Starosta zaklął szpetnie i wygramolił się z pojazdu.

— Co wasza miłość mówi? — odezwał się Żyd, biorąc klątwę starosty za słowa do siebie wyrzeczone.

— Powiadam, abyś dał kwaterę godziwą dla mnie i miejsce dla moich ludzi i koni.

— Aj! aj! — skręcił się karczmarz. — Wasza wielmożność wybaczy, ale skąd ja wezmę wolną komnatę, skąd, pytam się? Jaśnie wielmożny pan książe zajął wszystkie izby, ja sam z moją rodziną na strychu nocuję.

— Skąd weźmiesz, to twoja rzecz, a dla mnie ważnem jest to jedynie, aby pomieszczenie było.

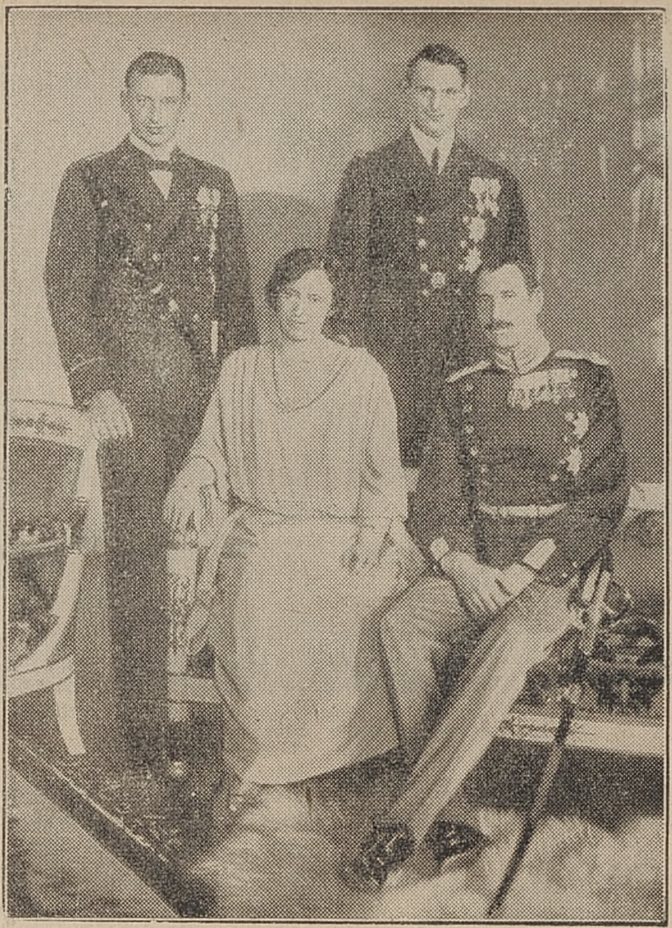
Karczmarz chciał jeszcze coś tłumaczyć, ale pan Ciechanowiecki ofuknął go i żyd zniknął we wnętrzu karczmy. Tymczasem starosta, przywoławszy Sulimę, rzekł:

— Słuchajno waćpan, panie Sulima, wiesz ty czyje to wozy i kolebki?

— Księcia kanclerza.

— Zgadłeś. Zatem: czuj duch! Pójdziesz wasze ze mną do karczmy, a ludziom powiedz, aby byli w pogotowiu. W razie jakiej napaści mają przyjść nam z pomocą.

Poszli ku drzwiom karczmy, a pan Jan obmacał krucicę i spróbował czy szabla gładko z pochwy wychodzi. Był przekonany, iż bez rąbaniny się tu nie obejdzie.



W okresie od 15—17 maja br. obchodziła Dania uroczystość 25-lecia rządów króla Christiana X. Zdjęcie nasze przedstawia króla w otoczeniu królowej Aleksandry, następcy tronu księcia Fryderyka i księcia Kunda.

Ogólna izba karczmy, pełna była wojskowych i służby księcia kanclerza. Tłoczno tu było tak, że nigdzie nie można było znaleźć wolnego na tyle miejsca, aby siako-tako móc usiąść. Rotmistrz Sulima poszedł do szynkwasu, za którym stał drżący karczmarz.

— Gdzie masz wolne izby, żydzie? — rzekł gniewnie.

— Aj! aj! — trząsł się Żyd. — Sam jaśnie wielmożny pan widzi, co tu miejsca, co tu ciasno jak w beczce ze śledziami... Skąd ja wezmę wolną izbę, skąd?...

Sulima schwycił Żyda za brodę, przyciągnął gwałtownie do siebie i następnie pchnął mocno. Żyd uderzył plecami o szafę za nim stojącą, aż flaszki pospadały i rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

— Aj! Gewałt! Rozbój!... — darł się Żyd w niebogłosy.

Zgromadzeni w izbie żołnierze i służba księcia kanclerza wybuchnęli śmiechem. Karczmarz widząc, że z tej strony nie może spodziewać się żadnej pomocy, zamilkł na chwilę.

— Dawaj izby, żółtku niechrzczony, póki grzecznie proszę.

— Niech jaśnie wielmożny pułkownik sam bierze, bo ja ich nie mam, wszystko zajęte od góry do dołu.

— Prowadź, zobaczymy, zali mówisz prawdę.

Karczmarz wylazł zza szynkwasu, trzęsąc łydkami, obciągniętymi w brudne, niegdyś zapewne białe pończochy i poszedł przodem. Weszli do jednej izby, zajętej przez jakiegoś znaczniejszego dworzanina księcia kanclerza, weszli do drugiej, zajrzeli do trzeciej — wszystko zajęte. Z kolei znaleźli się w mieszkaniu karczmarza, z którego oficerowie Czartoryskiego wyrzucili rodzinę żydowską. Sulima obrzucił izbę wzrokiem i snać tutaj postanowił ulokować starostę, bo rzekł do znajdujących się tu dwóch oficerów:

— Waćpanowie zechcą opuścić tę komnatę.

— Opuścić? Jakim prawem żądasz waćpan tego od nas?

— Prawem godniejszego od was, mopankowie.

— Uważ waćpan, byśmy ci owej godności na grzbiecie nie wygarbowali.

Sulima uderzył ręką po szabli, po czym, wykonawszy błyskawiczny skok, porwał jednego z oficerów za kołnierz i pludry i nim ten zdołał pomyśleć o obronie, już znalazł się nad głową Sulimy, a w następnej chwili poleciał ku drzwiom, wybijając je i wpadając do karczmy. Jego towarzysz z dobytą szablą rzucił się na napastnika, ale potężny Sulima, chłop jak tur, w dwóch złożeniach wytrącił mu szablę z ręki i tą samą, co jego poprzednika, drogą wyekspediował go z izby.

W karczmie podniósł się natychmiast wrzask, hałas i rwetes piekielny. Kilkanaście szabel rozbłysło w świetle mdłych łojówek, kilkanaście rozwścieczonych postaci rzuciło się ku stojącemu obok drzwi staroście, który odcinał się napastnikom, oparty plecami o ścianę.

Zobaczył to Sulima i pospieszył staroście z pomocą, porywając spod ściany ciężką, dębową ławkę i puszczając ją w ruch na głowy napastników.

Jęki i wrzaski zranionych zwabiły do karczmy ludzi pana starosty, którzy już w stajniach rozprawiali się byli z książęcymi koniuchami, rozpędziwszy ich na cztery wiatry i wypędziwszy ich konie ze stajen. Zobaczył ich w drzwiach potężny Sulima i huknął ku nim:

— W nich psubratów familiantów!

Żołnierze starościńscy natarli od tyłu. Wywiązała się teraz walka na dwóch frontach, skotłowana, wrzaskliwa, pełna jęków, trzasków, tupotu nóg, brzęku szabel i świszczących oddechów ludzkich.

Hałas ten wywabił z jego komnaty księcia kanclerza, który wybiegł w szlafroku na schódki, a widząc wir walczących ludzi i poznawszy broniącego się starostę opeskiego, doznał jakoby olśnienia.

— Stać! Stać!... — huknął ku swoim ludziom.

Ten i ów obejrzał się, a poznawszy księcia, opuszczał szablę, lecz gdy przeciwnicy znowu natarli, mieszał się do walki i bronił się lub sam atakował.

— Stać! Stać! — powtórzył znowu wezwanie książe. — Mości starosto, zaprzestań waść walki.

Teraz dopiero spostrzegł pan Jan księcia kanclerza, stojącego na schódkach w szlafroku i szlafmycy i rzucił hasło Sulimie:

— Stój!

— Stać! Stać! — huknął rotmistrz do swoich ludzi.

Walka zaczęła przycichać, uspakajać się, lecz wszyscy stali w pogotowiu z obnażonymi szablami. Kilku ludzi poranionych i jęczących walało się po podłodze.

Książe kanclerz zszedł na dół i stanął w kręgu swoich ludzi.

— Cóż to za napaść, mości panie starosto opeski? — spytał książe kanclerz.

— Spytaj o to wasza miłość swoich ludzi, gdyż ja tylko broniłem się wobec napaści. I jabym to raczej miał prawo zapytać: cóż to za nowe jakieś, pewnie moskiewskie obyczaje ,napadania na spokojnych podróżnych przez ludzi waszej ks. mości?

— Mości Grudziński — zwrócił się książe do jednego z pobitych przez Sulimę oficerów — wytłumaczno mi waćpan, co znaczy cała ta walka?

Oficer zdał relację zgodnie z prawdą, żaląc się, że Sulima napadł na nich we własnej ich kwaterze, postępując sobie jak Tatarzyn. Książe wysłuchał opowiadania, a odpowiedź, jakiej udzielił, zdumiała już nie tylko jego ludzi, ale nawet samego starostę.

— Jako polityczni kawalerowie — rzekł książe — powinniście byli waszmościowie więcej baczyć na godności i urodzenie. Pan starosta opeski miał prawo zająć kwaterę, o którą stoczył walkę, a której nie chcieliście mu ichmościowie dobrowolnie odstąpić. Nie uchodzi wszak, aby jegomość pan starosta nocował na dworze.

A obrzuciwszy wszystkich wyniosłym spojrzeniem, zwrócił się następnie już wprost do pana Jana:

— Zajmij waszmość swoją kwaterę. Poręczam ci moim słowem, że nikt niepokoił cię nie będzie. Gdy zaś oporządzisz się po podróży, racz mnie odwiedzić, aby wypić ze mną szklaneczkę wina.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ADAM NASIELSKI.

4)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

Była to czarna figurka, wyobrażająca Ozyrysa!!!

Na chwilę aż oniemiał ze zdumienia, ale to przeszło natychmiast. Oczywiście, bankier, zwariował i chce się zabawić w historię sensacyjną. Opowiedział nowelę o Ozyrysie i przysłał kopertę z czarną figurką. Może ekscentryczny sposób amerykańskiej reklamy. Poza tym... — tak — poza tym...

— Co to za śmieszna figurka, panie naczelniku.

— Bardzo śmieszna figurka, Stefanie. W zielonej walizie lotniczej leży mój rewolwer. Wyjm go i sprawdź. Będzie mi może potrzebny.

Nie mógł oderwać wzroku od czarnej figurki Ozyrysa.

Obejrzał kopertę. Była duża i gruba, z drogiego papieru. Na odwrocie widniał wyraźny ślad — jakby ktoś wyskrobał żyletką jakiś napis. Może monogram Stokowskiego. Tak... Bernard Żbik schował kopertę i figurkę do teki i wyszedł z domu. Taksówka zawiozła go do Banku Południowego. Wysiadł i polecił szoferowi czekać. Otworzył mu zdziwiony woźny o bladej twarzy. Zdumienie było usprawiedliwione, gdyż było już po godzinach przyjmowania interesantów w bankach.

— Chciałem widzieć się z panem dyrektorem Stokowskim.

— Teraz już nie przyjmuje. Poza tym... już poszedł do domu.

— Jestem inspektor policji śledczej.

Zdecydowana zmiana frontu. Anemiczna i przedwcześnie postarzała twarz woźnego ułożyła się w uśmiechu, zupełnie nieudanie.

— W takim razie zaprowadzę pana do sekretarza.

Ten sam korytarz na trzecim piętrze, tylko inne drzwi, do których woźny zapukał i wszedł nie czekając na „proszę". Po półminucie wyszedł.

— Pan sekretarz prosi.

Już w progu drzwi małego gabinetu dostrzegł inspektor szczupłą postać Edwarda Downara. Stał przy telefonie ze skupioną twarzą. Uprzejmym ruchem wskazał detektywowi fotel przy eleganckim biurku.

... — Tak jest, panie dyrektorze... zawiadomiłem... Oczywiście... Na imię i nazwisko pana dyrektora... Bez „bankier", tylko Erazm Stokowski... Niema za co, panie dyrektorze... Dziękuję... To jasne...

Położył słuchawkę na widełkach i przywitał się z inspektorem.

— Rozmawiałem z szefem — usprawiedliwił się. — Dziwny człowiek. Ni stąd ni zowąd kazał mi zamówić w Orbisie bilety do Kairu.

— Czy on wykazywał przedtem objawy... Egiptomanii lub... manji prześladowczej. — Żbik podziękował wzrokiem za papieros.

— Nie — zaprzeczył Downar. Był zrozumiale skoncentrowany. — I to jest najdziwniejsze. Kiedy dziś, razem z panami, usłyszałem tę niesamowitą historię o grobowcu Ozyrysa, myślałem, że szef dostał ataku obłędu.

— Ja nie odniosłem tego wrażenia. Wyglądał zupełnie przytomnie, tylko śmiertelnie przerażony. W tem musi coś być. Proszę mnie zameldować.

— Stary... pardon! Pan Stokowski zakazał sobie przeszkadzać. Pracuje w swoim gabinecie na pierwszym piętrze.

— Jednak chciałbym się z nim rozmówić. Będzie pan łaskaw połączyć mnie z nim telefonicznie..

Downar podniósł mikrotelefon i nacisnął dwie cyfry na tabliczce numerowej wewnętrznego aparatu. Przez chwilę czekał w milczeniu i jeszcze raz zakręcił korbkę dzwonka, wyraźnie zniecierpliwiony.

— Aparat musiał się znów popsuć. Nikt się nie odzywa.

W tej samej chwili dzwonek telefonu zafurczał przeciągle. Edward Downar podniósł słuchawkę.

— Hallo... Co!!!

Rzucił mikrotelefon i jednym susem znalazł się przy drzwiach. Bernard Żbik, tknięty przeczuciem, pobiegł za nim i obaj jednocześnie jak huragan zbiegli po schodach i razem dopadli wielkich dębowych drzwi na pierwszym piętrze, z białą tabliczką: Dyrektor Naczelny E. Stokowski. Inspektor szarpnął klamkę i stwierdził, że drzwi są zamknięte. Nie namyślał się już.

— Co pan usłyszał przez telefon?

— Krzyk dyrektora Stokowskiego... — sekretarz był blady i przejęty. Dłonie drżały mu konwulsyjnie. Inspektor zrozumiał, że musi opanować sytuację, inaczej ten człowiek gotów jest dostać ataku histerycznego.

— Macie tu ogólny klucz? — Nie czekał na odpowiedź. — Niech pan zawoła woźnego.

Sam pozostał przy zamkniętych drzwiach, aż do chwili gdy wrócili anemiczny woźny i wystraszony sekretarz. Za drzwiami przez cały czas panowała cisza, niczem niezmącona. Woźny trzymał w ręku szklane kółko z pękiem kluczy zapasowych. Dobrał odpowiedni dopiero po piątej próbie i przekręcił. Inspektor wszedł pierwszy.

Stał w wielkim gabinecie. Na ogromnym biurku paliła się zasłonięta lampka z przezroczystym abażurem tak, że w reszcie pokoju panował półmrok.

Mimo to Bernard Żbik odrazu zauważył leżącą na podłodze postać bankiera. Nachylił się i dojrzał natychmiast tkwiący w plecach mały sztylet, wbity aż po kościany trzon. Poświecił swą małą bateryjką i promienie jej żarówki padły na znak Ozyrysa, wyrzeźbiony na rękojeści kindżału.

Dyrektor Erazm Stokowski — bez względu no to czy był człowiekiem normalnym, czy umysłowo chorym — nie należał już do grona żyjących. A morderstwa dokonano nieomal na oczach inspektora Bernarda Żbika, gdyż słuchawka telefonu tkwiła jeszcze w kurczowo zaciśniętych palcach trupa.

VI.

Fakty i logika

Najpierw rutyna — a potem mózg. W tej chwili inspektor nie był w stanie myśleć o niczem. Miał absolutny chaos w głowie i pierwsze posunięcia były czysto automatyczne. Różne przypuszczenia, absurdalne i kolidujące ze sobą uderzały w świadomość, ale żadne nie pozostawiało wyraźnego śladu, obrazu, pojęcia, hypotezy. Tak być musiało — bo fakty nastąpiły po sobie konsekwencji nietylko dziwnej, lecz wręcz niesamowitej.

Cofnął się ostrożnie stawiając kroki, aby nie zatrzeć ewentualnych śladów na podłodze, odsunął delikatnie acz zdecydowanie Downara, który chciał już wejść i zamknął drzwi na klucz. Gdzie był właściwy — może w ręku mordercy. Jak mógł tak prędko... Nie! To potem. Teraz myśli są zbyt schaotyzowane, nieuchwytne.

Woźny był również bliski zemdlenia i inspektor uznał, że brutalna prawda może w tym wypadku podziałać otrzeźwiająco.

— Dyrektor Erazm Stokowski nie żyje — oznajmił sucho i krótko.

Odwrócił się w stronę woźnego:

— Proszę wyjąć ten klucz z krążka. Zamknę drzwi.

Klucz schował do kieszeni marynarki i dopiero teraz zauważył, że wciąż jest w raglanie. Kapelusz zostawił w gabinecie Downara. Spojrzał teraz na niego.

— Popełniono tu morderstwo prawie w naszej obecności. Panowie obaj zejdą teraz ze mną do hallu. Może zabójca przebywa jeszcze w gmachu banku.

Przypuszczenie to zamieniło się w pewność wobec faktu, jaki stwierdził na dole. Główne i jedyne drzwi do gmachu banku były zamknięte na rygle od wewnątrz a wszystkie okna w budynku były okratowane. Wobec tego — morderca nie uciekł.

— Innego wyjścia niema, panie inspektorze — zapewnił drżącym głosem woźny po powtórzonym pytaniu. On... on musi tu być.

— Kto jest poza tym w banku?

— Nikt. Tylko ja, pan Downar i... pan dyrektor Stokowski.

— Jak wy się nazywacie.

Ujrzał rozszerzone w przerażeniu małe, kaprawe oczy.

— Po... Po co?

— Jakto? Pytam o pana nazwisko. Nic więcej.

— Lipiński. Franciszek Lipiński. Ale...

— Gdzie pan zastał Lipińskiego, panie inżynierze?

— W...

— Nie pytam was, tylko pana sekretarza!

— Ale... to nie ja... Nie ja...

— Siedział w swojej dyżurce, panie inspektorze.

— Tak, w dyżurce. Nie słyszałem wystrzału... Przysięgam.

Bernard Żbik odwrócił się ze wstrętem od tchórzliwej kreatury o zaczerwienionych oczach. Potem zmienił zdanie o Franciszku Lipińskim. Zwrócił się znów do Downara, ale mówił raczej sam do siebie.

A pan był ze mną. Ponieważ zaś nikt nie potrafi popełnić samobójstwa przez wbicie sobie w p l e c y sztyletu aż po rękojeść — więc z tego wynikałoby, że dyrektora Stokowskiego zamordował duch, który nadto zamknął za sobą drzwi na klucz, który z nich wyjął niewiadomo dlaczego. To byłby cud — a w kryminalistyce cuda są policyjnie zabronione.

Zastanowił się.

— Przepisy nakazują mi umieścić panów obu w odosobnieniu aż do przesłuchania. Sądzę, że znajdą się jakieś dwa pokoiki biurowe.

Pomimo protestów zamknął Downara w jego gabinecie, a woźnego w sąsiednim pokoju i zabrał klucze ze sobą. Zeszedł do hallu, gdzie już przedtem zauważył telefon. Połączył się z centralą służby śledczej.

— To ty, Adam! Dzwonię z Banku Południowego. Połączysz się natychmiast z centralą telefoniczną i zarządzisz przejmowanie wszelkich rozmów z Banku Południowego. Potem przyjeżdzasz tu bezzwłocznie.

Polecenie kontroli rozmów było uzasadnione. Jeżeli zbrodniarz przebywał w gmachu posiadającym kilkadziesiąt telefonów w stu pokojach — to instrukcja Żbika mogłaby się przyczynić do uniemożliwienia mu matactwa i ucieczki.

Wyszukanie telefonu dr-a Dalczewskiego zajęło mu również pięć minut i nadomiar linia była zajęta. — Halo! Tu Żbik. Musi pan natychmiast przyjść. Bank Południowy. Morderstwo. Sztyletem w plecy.

— W taką pluchę! A zbrodniarz.

— Ulotnił się.

— Dużo podejrzanych, Vance?

— Nikt, do licha.

— Oha! To coś nowego.

Inspektor usłyszał trzask zawieszonej słuchawki i nacisnął widełki, aby połączyć się na nowo. Telefoniczne zawiadomienie Kobylańskiego, Wielgusa, Rogalskiego, Więcka i Sznajdera było kwestią siedemnastu zakręceń cudownego aparatu Ericssona. Potem jeszcze krótka rozmowa z doktorem nadkomisarzem Luchsem i rola telefonu była skończona.

Odetchnął. Rutynie stało się zadość, specjaliści i pomocnicy nadejdą za kilka lub kilkanaście minut. Zatem można się zastanowić. Ale nad czym? Tu wszystko było zwariowane i pozbawione widocznej logiki. Obliczmy, tak, dla spokoju sumienia, bo inaczej zwarjuję: Zobaczyłem Stokowskiego na balu w Resursie — był przerażony. Powód — nie znam — ale powód musi przecież istnieć. Nazajutrz wezwał mnie do siebie i opowiedział początek noweli francuskiego autora, pod tytułem „Zemsta Ozyrysa", wydrukowanej w zeszłym tygodniu w Illustrated London News i przedrukowanej przez jeden z miesięczników polskich (prawdopodobnie bez autoryzacji). Dałem mu więc do zrozumienia, że nie można mnie brać na fundusz. Chciał coś odpowiedzieć i zemdlał, albo udał, że zemdlał, aby jakoś wykaraskać się z całej historii. Wróciłem do domu po dwóch godzinach i zastałem... list z figurką Ozyrysa. Przybyłem do banku dla uzyskania wyjaśnień (czy tylko!) i słyszałem jak Stokowski rozmawia przez telefon wewnętrzny ze swoim sekretarzem, któremu polecił zamówić bilety do Egiptu. Potem zadzwonił, krzyk w telefonie i... to wszystko. Nic więcej? Nic... A więc...

Przypuśćmy, że Erazm Stokowski istotnie był umysłowo niezupełnie normalny. Ale Erazm Stokowski został zamordowany... Zakłuty w bestialski sposób. I człowiek, który zabił — przebywa w gmachu banku, w jednym z tych stu pokoi. Może tam, w niszy, lub za kolumną, albo... Bernard Żbik pod wpływem odruchu odnalazł główny kontakt i w ogromnym hallu zapłonęły światła. Dopiero post factum uświadomił sobie dlaczego to uczynił. Nie, tu nie widać było nikogo.

Przycisnął dłonie do rozpalonych zdenerwowaniem skroni i tak trwał przez chwilę w bezruchu, oparty o skrzynkę telefonu. Wokoło cicho, pusto, bezdusznie. Hall Banku, okienka, tabliczki numerowane, klatki kas, „Upraszamy P.T. Klijentów o dokładne przeliczanie otrzymanych pieniędzy, gdyż...", szklany sufit, marmurowa posadzka, schody, winda. C i i i c h o. Nie ma ludzi. A jednak musi się tu ukrywać jeszcze jeden człowiek. Ten, który zabił. Może! — w kabinie windy. Nie, niema go tam...

Zbliżył się do drzwi wyjściowych na ulicę, bo usłyszał dzwonek. Odsunął rygle i wpuścił aspiranta. Zamknął starannie drzwi za nic nierozumiejącym przyjacielem.

— Stokowski nie żyje, prawda, Bernardzie.

— Przecież nie powiedziałem ci tego wyraźnie. (Lecz znów nie tak trudno było domyśleć się).

— Owszem, wspomniałeś o tym, gdyśmy wczoraj schodzili po schodach z balu. Pamiętam twoje pierwsze pytanie: Jak długo jeszcze będzie żył pan Stokowski.

— Racja. Ja byłem pierwszym, który przewidywał śmierć Stokowskiego. I ja byłem w gmachu w chwili morderstwa. Może więc ja go zabiłem. Panie inspektorze, aresztuję pana...

— Przestań żartować.

— Wcale nie żartuję. To jest niesamowita sprawa. Boję się.

— Kogo?

— Boję się objawu, że nic nie rozumiem. Ja byłem przytem i stało się błyskawicznie. Nieprawdopodobnie, niemożliwie prędko.

Opowiedział Adamowi o otrzymanym liście i pokazał mu czarną figurkę Ozyrysa.

— Może ja zwarjowałem, straciłem osławione zdolności, ale to jest coś niepojętego. Kto go mógł zabić w takiem piorunującym tempie. Między krzykiem w telefonie a chwilą gdyśmy zbiegli ze schodów trzeciego piętra na pierwsze minęła nie cała minuta. Drzwi były zamknięte, klucza w nich nie było. Ja czekałem przez cały czas przed drzwiami póki Downar pobiegł po woźnego Lipińskiego, który przyniósł zapasowe klucze. Otworzyłem i zastałem już trupa. W całym budynku niema ani jednego nieokratowanego okna. To przecież bank. Downar był przez cały czas ze mną i... ja byłem przez cały czas z Downarem. Nie śmiej się... Pozostaje woźny. Downar zeznał, że zastał go w dyżurce na parterze, odległej o trzy minuty drogi, szybkiej drogi. W tej stronie wewnątrz gmachu niema po zatem nikogo. Skarbiec mieści się od zewnątrz, od strony ogrodu i niema połączenia z właściwym gmachem.

— Jesteś pewny, że niema nikogo w całym gmachu.

— Fizycznie powinien tu być zbrodniarz, lecz psychologicznie nie powinniśmy znaleźć nikogo. Bo człowiek, który wykonał taką zbrodnię nie może być idjotą. O, nie. Pamiętaj o noweli o Ozyrysie i o figurce Ozyrysa, przesłanej mi w kopercie. Wszystko musi się ze sobą wiązać. Ale gdybym wiedział jak — znałbym mordercę. I będę wiedział, psiakrew.

Sławny detektyw był zdenerwowany. Nie mógł sobie darować, że mógłby zapobiec śmierci człowieka, gdyby... Gdyby co? Aspirant Bilewski spojrzał z zaniepokojeniem na swego szefa i przyjaciela. Jeszcze nigdy nie widział go w stanie takiego podniecenia.

— Samobójstwo? — podsunął.

— Nożem w serce, od strony pleców, aż po sam trzon — już myślałem. Niemożliwe nawet dla mańkuta. Zresztą, sam zobaczysz i wtedy zrozumiesz, a raczej przestaniesz rozumieć — tak jak ja. O, idą nasi chłopcy.

Otworzył i wpuścił wszystkich. Wywiadowca Wielgus wysłuchał dyspozycji i powtórzył je swoim kolegom. Kobylański zostanie przy głównych i jedynych drzwiach. Rogalski i Więcek będą obserwować dom od strony ulic, uważać na dach, w razie potrzeby — strzelać. Nie opuszczać ani wypuszczać nikogo, Kobylański! Rozkaz... Wielgus i Sznajder obstawią bank od strony ogrodu — instrukcja o broni ta sama co dla poprzednich. Kiedy nadejdą daktyloskop i pan dr. Dalczewski, któremu nigdy się nie spieszy — wpuścić ich i przysłać na pierwsze piętro, na teren i pilnować drzwi. Adam pójdzie i uprzedzi Downara i Lipińskiego, że musi potrwać i uspokoi ich. Potem wróć do mnie i zbadamy bliżej gabinet zbrodni. Na razie to wszystko. Rewizja domu później. Zachowywać się cicho i nie demonstrować swojej obecności nawet optycznie.

— Rozkaz!!!

— Nie odzywajcie się chórem, wystarczy jeden. Marsz, każdy na swój posterunek.

Wywiadowca Wielgus, dla którego inspektor Żbik był Bogiem nieomal szturgnął w krzyż swego kolegę Sznajdera.

— Widzisz, mitraljezo, to jest łeb, nasz naczelnik. Tybyś, brachu, w portki narobił w takiej sytuacji, a on nic tylko: marsz. I zobaczysz. jak on tu zaraz przyaresztuje w sam raz kogo należy. Nie bój się.

Inspektor uśmiechnął się nieznacznie, odchodząc.

Skierował się ku schodom, szedł wolno aż zatrzymał się przed wielkimi drzwiami dębowymi z tabliczką: „Dyrektor Naczelny E. Stokowski. Nie wchodzić bez zameldowania.“ Teraz ostatnia wskazówka była już nieaktualna — już nikt nigdy nie zamelduje się do Erazma Stokowskiego. Bernard Żbik tuż po tej myśli otrząsł się z sentymentu. Nie było dlań miejsca w tej sytuacji. Przed sławnym detektywem policji warszawskiej stało teraz najtrudniejsze zadanie w jego życiu: rozwiązanie zagadki zbrodni, z której nic a nic nie rozumiał. Wszystkie dane wskazywały na to, że Stokowskiego mógł zamordować tylko duch, gdyż człowiek nie potrafi działać z tak błyskawiczną szybkością. A przecież duchów niema. Przecież ktoś musiał wbić sztylet w plecy bankiera w chwili, gdy ten stał przy telefonie. Ktoś — i to żywy, okrutnie żywy człowiek, musiał zamknąć te drzwi i uciec po dokonaniu zbrodni. A może... może zbrodniarz dotychczas ukrywał się w gabinecie mordu!

Inspektor aż przystanął w bezruchu. Tak, to byłaby przecież jedyna, logiczna możliwa hypoteza, usuwająca i niwelująca ten niesamowity konflikt cudów i absurdów czasowo-przestrzennych. Bernard Żbik przebywał przedtem w pokoju przez chwilę, gdy gabinet był półmrocznie oświetlony. Za biurkiem, we wnęce okna, w szafie, za półką z książkami mógł...

Myśl ta zelektryzowała inspektora. Bez zastanowienia wydobył rewolwer z kieszeni marynarki i opuścił bezpiecznik. Z ręką na cynglu wszedł do pokoju. Jeszcze u progu, nie przestępując go, również cicho wyciągnął rękę do kontaktu obok futryny i zapalił wszystkie światła w wielkim żyrandolu kryształowym zawieszonym na łańcuchu pod sufitem freskowym — tak że w pokoju stało się widniej niż w dzień.

Wszystko tu było ogromne, jak ten oślepiający żyrandol: biurko, obok którego leżał trup (jak to przyciąga wzrok, hypnotyzuje wprost) ...nawet dwa kałamarze i ołówek reklamowy jednej z firm chemicznych. Suszka, dwa fotele biurowe, dywan w drugim rogu obok okratowanego okna. Na dywanie biblioteka — kanapa obita skórą i odpowiednie klubowce przy okrągłym stoliku. Na blacie tegoż ogromna popielniczka. Wszystko nadmiernie wielkie — detektywowi przypomniał się Renault, który go tu przywiózł za pierwszym razem.

Sam gabinet był okazały i urządzony z komfortem. Sciany, za wyjątkiem jednej, zastawionej kominkiem i szafami bibliotecznymi, wszystkie okryte kilimami, gobelinami i dywanem, skonsolidowanemi barwnie i gatunkowo ze znamienitym gustem, nie po parwenjuszowsku ani po nowobogacku. Człowiek, który je dobrał mógłby się pochwalić swym smakiem artystycznym — gdyby nie to, że już nie był w stanie chwalić się czemkolwiek. Przestał być.

Wszystkie te szczegóły ogarnął Żbik jednym rzutem oka, stojąc we drzwiach z bronią przy biodrze — nie wolno mu było bowiem zapomnieć, że logika wskazywała na fakt, że w tym pokoju ktoś musiał się ukrywać, morderca.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 23 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna; 9.00 „Głosy Ziemi Kościańskiej" — transmisja regionalna. Nabożeństwo z kościoła parafialnego w Kościanie; 11.00 „Ze świata czarów" (płyty); 12.03 Poranek muzyczny (z Łodzi); 14.00 Regionalna transmisja z Racotu; 14.30 „Na swoją nutę" — orkiestra mandolinistów; 15.15 Łucjan Kamieński: Wesele Kujawskie, op. 20; 15.30 Audycja dla wsi; 16.00 „Comedian harmonists — śpiewają" (płyty); 16.25 Fragment słuchowiskowy ze sztuki „Madame Sans-Gene" Sardou (ze Lwowa); 17.00 Podwieczorek przy mikrofonie; 19.00 „Z mojego warsztatu" — szkic literacki 19.20 VII audycja z cyklu „Słynni dyrygenci"; 21.00 Wesoła audycja „Nitouche z Bocianowic"; 21.30 Robert Schumann: Kreisleriana; 22.00 Wileńska Orkiestra Polskiego Radia; 23.05 Muzyka taneczna (płyty).

Poniedziałek, dnia 24 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół; 12.30 „Od warsztatu do warsztatu" — 365-lecie Lwowskich Chrześć. Cechów Murarzy, Kamieniarzy i Brukarzy; 15.15 Koncert solistów; 16.30 Muzyka z płyt; 17.00 „Warszawa współczesna" — odczyt; 17.15 Koncert z Wystawy Radiowej w Katowicach; 17.45 „Najnowsze zdobycze medycyny" — odczyt; 18.20 Utwory operetkowe (płyty); 19.00 Audycja strzelecka; 19.30 Muzyka salonowa i taneczna w wykonaniu Małej Orkiestry; 20.15 Koncert muzyki jugosłowiańskiej; 21.00 „Wojny Trojańskiej nie będzie" — fragment słuchow.; 21.30 Recital śpiewaczy Ady Sari; 22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, dnia 25 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół. 12.03 „Fragment z opery „Faust" Gounoda (płyty); 15.15 Polska kapela Ludowa Dzierżanowskiego; 16.30 Siostry Burskie śpiewają lekkie piosenki; 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich"; 17.15 Koncert solistów; 17.50 „Skrzynka zażaleń nr. 3" (o motoryzacji); 18.20 Ptaki w muzyce; 19.00 Dyskutujmy: „Czy wykształcona młodzież wiejska powinna wracać na wieś?"; 19.20 Muzyka angielska w wyk. Małej Orkiestry; 20.00 Rozmowa muzyka ze słuchaczami radia; 20.15 Transmisja opery z Teatru Wielkiego; 22.30 „Giacomo Leopardi" — kwadrans poetycki; 22.45 Muzyka taneczna (płyty).

Środa, dnia 26 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół; 12.03 Mała Orkiestra P. R.; 15.15 Motywy ludowe francuskich prowincji (płyty); 16.10 Audycja dla dzieci starszych; 16.30 Zespół Pawła Rynasa; 17.00 17.00 „Marian Langiewicz" (w 50-tą rocznicę zgonu) — odczyt; 18.20 Orkiestra Roberta Renarda (płyty); 19.20 Wolfgang Amadeusz Mozart: kwartet fortepianowy g-moll; 19.55 Muzyka operetkowa (płyty); M21.00 „Opowieść o Chopinie" — wieczór XVII; 21.45 Wileńska Orkiestra Polskiego Radia; 22.25 Eksperymentalny Teatr Wyobraźni: „Lament królewski".

Czwartek, dnia 27 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna; 9.00 Transmisja nabożeństwa i procesji Bożego Ciała z Myszyńca na Kurpiach. 12.03 Poranek muzyczny (z Wilna); 14.00 Regionalna transmisja z Myszyńca na Kurpiach: 14.30 Koncert rozrywkowy; 15.30 Audycja dla wsi; 16.15 „1000 taktów muzyki"; 17.15 „Radość w życiu dziecka" — pogadanka; 17.30 Kołysanki różnych narodów; 18.10 Orkiestra Marka Webera i Stefan Witas (płyty); 19.00 „Z domu Dziurdziulewiczówna" — audycja muzyczna; 19.30 „Do słuchu i do tańca" gra orkiestra Tadeusza Seredyńskiego; 20.30 „W kraju młodszej Hellady" — felieton; 21.00 Polska kapela ludowa F. Dzierżanowskiego; 21.30 Recital śpiewaczy Maris Wohtra — tenor; 22.20 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 28 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół; 12.03 Koncert łódzkiej orkiestry salonowej; 15.15 „Gdy kwitną kwiaty" (płyty); 16.30 Muzyka salonowa: 17.00 „Nauka w Rosji współczesnej" — odczyt; 17.15 Recital fortepianowy Leopolda Muenzera; 18.20 „Przy dźwiękach saksofonu" (płyty); 18.50 „Ochrona zwierząt domowych przed plagą much" — pogadanka. 19.45 Fragment operowy; 20.15 Koncert rozrywkowy (płyty); 21.00 Koncert Pomorskiego T-wa Muzycznego; 22.30 „Miłość w czwartym wymiarze" — skecz; 22.45 Muzyka taneczna (płyty).

Sobota, dnia 29 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna; 11.30 Audycja dla szkół; 14.30 Teatr Wyobraźni dla dzieci; 15.15 Muzyka lekka (płyty); 16.15 Parafrazy i fantazje na tematy dawnych melodii; 17.00 Transmisja nabożeństwa majowego z Ostrej Bramy; 18.20 Wesołe melodie (płyty); 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą; 19.30 Śląska pieśń żołnierska; 20.00 Schubert w transkrypcjach fortepianowych; 21.00 Koncert wieczorny; 22.00 „Ministerstwo humoru" — Wesoła Syrena; 22.30 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.

HUMOR

W PENSJONACIE

Gospodyni: Czemu postawił pan herbatę na krześle?

Gość: Jest tak słaba, że czułem, iż należy jej zaofiarować krzesło.

„PAŃSTWOWIEC"

— Teraz to już pracuję tylko dla państwa!

— Nie wiedziałem, że pan jest takim patriotą. Komu więc poświęca pan tyle trudu?

— Wszystko co zarobię, zabiera komornik.

JAK ROBIŁ TESTAMENT

Zawezwano na wieś rejenta w celu sporządzenia testamentu. Bogaty gospodarz przyjmuje rejenta w łóżku, skąd mu też dyktuje testament. Gdy już wszystko gotowe, zabiera się rejent do odejścia, lecz w tej chwili gospodarz także się podnosi z łóżka i pyta:

— Przepraszam też łaski pana sędziego, czy ja już mogę wstać?

— Jakto, więc nie jesteście chorzy?

— Mnie ta nic nie dolega, tylko ja myślałem, że do zrobienia testamentu musi człek w łóżku leżeć — rzecze gospodarz.

DOBROCZYNNOŚĆ

— Skądże masz ten piękny samochodzik? Kupiłeś na raty?

— Nie, zdobyłem go na loterii dobroczynnej.

— Wygrałeś główny los?

— Bynajmniej. Urządziłem loterię.

ŚRODEK KOSMETYCZNY

Na zebraniu towarzyskim do jednego z gości podchodzi pan Kotek i mówi:

— Przepraszam pana, czy nie zechciałby mi pan wyjawić, jakiego środka na farbowanie włosów pan używa? Już zdaleka spostrzegłem u pana tak świetnie ufarbowane włosy, że wcale tego nie poznać...

JAK ZACHOWAĆ SEKRETY?

Na wykładzie w instytucie racjonalnej higieny:

— Sekret utrzymania zdrowia, to jeść dużo czosnku....

Jedna z pięknych słuchaczek:

— Proszę pani, może to prawda, ale jak utrzymać sekret, przecież czosnek czuć...

PRZYCZYNA CZY SKUTEK

Pewien autor twierdzi, że wielu mężów zawdzięcza żonom swe powodzenie.

— Tak jest, ale iluż zawdzięcza swe żony temu, że im się powodzi?...

WYJAŚNIŁ

— Dlaczego mężczyzna, oświadczając się o rękę kobiety, zazwyczaj czyni to klęcząc?

— Ależ moja droga, jest to rzecz zupełnie uzasadniona, bo i wielbłąd przyklęka, kiedy bierze na siebie ciężar.

DOBRANE MAŁŻEŃSTWO

— Czy pani jest pewna, że pani mąż był pijany, kiedy wczoraj wieczorem powrócił do domu?

— Oczywiście, przecież chciał mnie pocałować.

PRZYJACIEL PRZY TELEFONIE

— Panie szefie, ktoś z przyjaciół prosi pana do telefonu.

— Skąd pan wie, że to przyjaciel?

— Ten pan powiedział: — Czy to ty, stary ośle?

W RESTAURACJI

Gość: — Panie kelner! Co za paskudne jedzenie u was, natychmiast zawołać gospodarza!

Kelner: — Niestety, nie ma go! Poszedł do sąsiedniej restauracji na śniadanie.

ZNA GO

— Północ wybija... już zjawił się duch pani męża...

— Wykluczone! Mój mąż nigdy przed 3 rano nie przychodzi do domu.

FRENOLOGIA

— Czy to prawda, że po guzach na głowie można określić charakter?

— Oczywiście! Jeśli nie badanego osobnika, to w każdym razie jego żony...

JĘZYCZEK

— Ciotuniu zamknij swe oczy!

— Po co moje dziecko?

— Tatuś powiedział, że otrzymamy samochód, kiedy ciocia zamknie oczy.

RYCERSKOŚĆ

Piotruś poznał sympatyczną damę.

— Może poszlibyśmy gdzie razem? — pyta.

— Dobrze, może do teatru? — proponuje dama.

Piotruś waha się: — A czy będzie pani mogła stać tak długo?

I TAK W KÓŁKO

— Janeczko! Zachowuj się grzecznie, bo z małych grzecznych dziewczynek wyrastają duże grzeczne panny.

— A co wyrasta z dużych panien?

— Znów małe, grzeczne dziewczynki.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie